



ODGŁOSY

REKOMENDACJE

W poprzednim numerze opublikowaliśmy rozmowę z sekretarzem KL PZPR — Zbigniewem Falińskim na temat nauki i kultury. W bieżącym numerze rozpoczęliśmy cykl wypowiedzi rektorów łódzkich uczelni. Dziś oddajemy głos prof. dr hab. JANUSZOWI GÓRSKIEMU — rektorowi UŁ.

Po krótkiej przerwie zaczynamy druk reportaży, które są plonem „Konkursu na Reportaż o Ziemi Łódzkiej”. W przeddzień nauczycielskiego święta wybraliśmy reportaż ZDZISŁAWA SZCZEPANIAKA o rodzinie, w której już trzecie pokolenie podejmuje służbę w tym zaszczytnym i odpowiedzialnym zawodzie.

Co kryje się za kryptonimem WOG, wyjaśnia w swym artykule LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Całą kolumnę poświęcamy teatrowi. WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, po wojazach na Śląsk, gdzie wziął udział w sympozjum teatrologicznym i obejrzał kilka sztuk na scenach Zabrzeża i Cieszyna, zastanawia się: „Czy teatr potrzebny jest robotnikom?” Pytanie jest oczywiście retoryczne, ale warto zapoznać się z przemyśleniami autora. JERZY PANASEWICZ natomiast w krótkim felietonie kwituje miniony sezon teatralny. Debiutuje na naszych łamach KAZIMIERZ W. LEWKOWSKI, były kierownik literacki Teatru Powszechnego.

Podobnie, jak i w poprzednich numerach, sporo miejsca poświęcamy literaturze. Dzisiaj kolumnę literacką oddajemy nauczycielom, członkom Klubu Literackiego w Łodzi. Aneksem do tych publikacji jest krótki artykuł o Klubie Nauczycielskim, w którym ogniskuje się działalność nie tylko literacka.

Nasi recenzenci — jak na razie — nie wpadają w zachwyt. JERZY KWIECINSKI pisze o koncertach filharmonii z „mieszanymi uczuciami”, a ALEKSANDER GÓRCZYŃSKI atakuje Grzegorza Królikiewicza za jego telewizyjną adaptację „Tańczącego jastrzębia” Juliana Kawalca.

Mniej uważni Czytelnicy nie spostrzegali, że w poprzednim numerze, pod odcinkiem wspomnień Karin Stanek ukazało się słowo „koniec”. Nie oznacza to wcale, że Stanek nadal nie wojażuje po Polsce, śpiewa i tańczy z gitarą. Publikując przez kilka letnich miesięcy jej pamiętniki, spotkaliśmy się z żywą reakcją, zwłaszcza młodych czytelników. Niektórzy mieli nam to za złe, ale sądzimy, że K. Stanek swoimi dziesięcymi memuarami wiele dała do myślenia tym, którzy chcieliby zastanowić się nad mechanizmem kreowania idoli w rozrywkowym biznesie.

A więc pozytywnej i przyjemnej lektury!



ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

NIEDALEKO OD JABŁONI...

Bo ja wiem czy to jest akurat miejsce dla „Judymów” i „Siłaczek”? I jakie ono ma być właściwie, żeby wrosnąć w nie ze wszystkich sił, dać mu z siebie co tylko można, a na początek młode lata, marzenia, plany — nawet i te słomianym ogniem płonące... Jak się szuka takiego miejsca — po czym się je poznaje, wie na pewno, że to tu, a nie gdzie indziej? Tu — w Grabowie, Borowie, Leźnicy czy Orszewicach...

Do tych ostatnich z Łęczycy niedaleko. Każdy wskaże najpierw drogę na Piątek, potem mignie z prawej Stary Tum, a rychło i druga krzyżówka, skąd do Gajewskich i do szkoły — w lewo — jak po sznurku... Bo kto by też ich tu nie znalazł, skoro:

Dalszy ciąg na str. 6

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WOG czyli ELASTYCZNOŚĆ POSZUKIWAŃ

Gdy tylko rozeszła się wśód, że w jednym z łódzkich instytutów podjęto pracę nad prognozowaniem kierunków zmian w strukturze przemysłu, na biurku dyrektora tego instytutu zadzwieczał telefon.

— Słuchajcie no — brzmiało w słuchawce — co wy tam wyrabiacie, mówią, że chcecie likwidować zjednoczenia!

Dyrektor spokojnie usiłował wyjaśnić, że po pierwsze, to oni dopiero zaczęli, a po drugie, czy ktoś kiedyś słyszał, aby naukowcy cokolwiek zlikwidowali. Przeciwnie, nauka jest powołana do tworzenia rzeczy nowych, a te znów nigdy tak łatwo nie uzyskują prawa obywatelstwa. A więc nie ma powodów do zmartwienia, zjednoczenia będą istniały jeszcze długo.

— To wobec tego — pytano wówczas — czym są owe wielkie organizacje gospodarcze?

I.

NIEPOROZUMIENIA powstały w trakcie poszukiwań nowych rozwiązań w systemie zarządzania przemysłem, kiedy to tworzone wielkie organizacje społeczne inicjujące zmiany i prowadzące eksperymenty. Nieporozumienia powstały w dwu kierunkach. Jedni usiłowali interpretować te zmiany jako dążenia do tworzenia koncernów. Drugi — jako zupełnie nowe twory gospodarcze, funkcjonujące na odmiennych niż dotychczas zasadach zarządzania i planowania.

Obie te interpretacje nowych organizacji gospodarczych są nieporozumieniem, gdyż obie zakładały jednoczesną likwidację zjednoczeń przemysłowych. Tymczasem tworzenie wielkich organizacji gospodarczych — jako proces konieczny w gospodarce i prowadzący do usprawnienia zarządzania, a wynikający z poziomu rozwoju techniki i życia społecznego — wcale nie jest jednoznaczne z likwidacją zjednoczeń.

„Pojęcie „wielkie organizacje gospodarcze” — pisał w marcu 1973 roku w „Nowych Drogach” Bogdan Gliński — powstało w wyniku potrzeby objęcia wspólnym terminem różnorodnych form

grupowania przedsiębiorstw lub zakładów przemysłowych. Nie oznacza ono rezygnacji z koncepcji zjednoczeń jako podstawowej formy grupowania przedsiębiorstw, dopuszcza natomiast inne typy grupowań, jak np. kombinaty, duże wyodrębnione ze zjednoczeń przedsiębiorstwa itp. Stwarza to zachętę do modernizacji istniejących grupowań przedsiębiorstw i zakładów, stosownie do specyfiki galezi (branży), jeśli oczywiście zachodzi taka potrzeba”.

HISTORIA wielkich organizacji gos-

Dalszy ciąg na str. 4

- NAUKA
- POSTĘP
- DOBROBYT

W dynamicznym rozwoju społeczno-ekonomicznym Polski, szczególnie szybkim na przestrzeni ostatnich czterech lat, ogromną rolę odgrywa nauka. W Łodzi mamy siedem wyższych uczelni. Społeczeństwo łódzkie coraz bardziej docenia ich znaczenie w rozwiązywaniu złożonych problemów gospodarczych i społecznych w kraju, w tym również w naszym regionie. Nasze wyższe uczelnie są dziś chlubą Łodzi.

Dając wyraz zainteresowaniu tą ważną problematyką zwróciliśmy się do rektorów wyższych uczelni łódzkich z prośbą o wypowiedzi na temat dalszych perspektyw rozwojowych uczelni, zamierzeń dydaktycznych i naukowo-badawczych w bieżącym roku akademickim oraz trudności, które hamują realizację programów rozwoju.

Dziś publikujemy wypowiedź prof. dr hab. JANUSZA GÓRSKIEGO — rektora największej naszej uczelni — Uniwersytetu Łódzkiego.

* * *

Uniwersytet Łódzki w ciągu ostatnich trzech lat stał się największą uczelnią Łodzi. W tym roku, 1 października, na uczelni rozpoczęło zajęcia około 16.000 studentów. Co spowodowało tak szybki rozwój uczelni? Pierwszym elementem, który tu zaważył jest rozwój studiów nauczycielskich. To bardzo ważne zadanie, które spoczęło na uniwersytetach i wyższych szkołach pedagogicznych, jest związane z podjęciem przez Sejm uchwały o reformie edukacji narodowej w Polsce. W związku z tym wysunięto ambitne hasło dokształcania do poziomu studiów wyższych wszystkich nauczycieli w kraju, oczywiście w odpowiednim przedziale wieku. W skali Polski musimy dokształcić ponad 150.000 nauczycieli, a w skali naszego regionu — Łodzi i województwa — około 16.000. Uniwersytet Łódzki włączył się bardzo szybko do wykonania tego zadania i w tej chwili dokształcamy w Uniwersytecie około 3.000 nauczycieli. To zaważyło na szybkim wzroście liczby studentów na studiach zaocznych. Jeśli chodzi o studia dzienne, to Uniwersytet odpowiada po prostu na istniejące społeczne zamówienie. Tu, z kolei, ważną rolę odgrywają trzy czynniki.

Pierwszy nosi charakter obiektywny: pod względem nasycenia kadry z wyższym wykształceniem region łódzki znajduje się na piątym miejscu od końca w skali kraju. Wiecej w bardzo złej sytuacji. A Łódź znajduje się w najgorszej sytuacji ze wszystkich miast wydzielonych w Polsce, mając najniższy odsetek osób z wyższym wykształceniem. Uniwersytet Łódzki oddał więc kroki, by przeciwdziałać tym niekorzystnym zjawiskom, zwiększając w miarę możliwości liczbę studentów.

Drugi czynnik, to nacisk wywierany na Uniwersytet, związany z nowym modelem konsumpcji, można by tak to nazwać, który się kształtuje w kraju. Wyższe wykształcenie jest coraz bardziej cenione przez społeczeństwo i staje się istotnym elementem zapotrzebowania. Młodzież chce zdobyć wyższe wykształcenie. Jest to dziś zjawiskiem ogólnosiw-

Dalszy ciąg na str. 3

7 października Niemiecka Republika Demokratyczna obchodziła srebrny jubileusz, czterdzięciolecie swego istnienia. W ciągu tych 25 lat państwo to nie tylko krzepło politycznie i gospodarczo, ale stało się jednym z komponentów trwałego pokoju na świecie. Narodziny tego państwa w 1949 r. oznaczały przekroczenie zakłętą tego kółła historii, znaczonego od wieków szowinizmem i militarystycznym pruskim. Dokonał tego niemiecki komunizm.

„Rząd działać będzie w całkowitej zgodzie z Uchwałami Poczdamskimi i innymi deklaracjami sojuszników obejmującymi Niemcy — powiedział 10 października 1949 roku pierwszy premier rządu NRD Otto Grotewohl. Zamierzamy prowadzić zdecydowaną walkę z duchem faszyzmu i militarystycznym, który pchnął narody do

drugiej wojny światowej. Dążymy do utworzenia państwa demokratycznego i do odbudowy pokojowych i przyjaznych stosunków ze wszystkimi narodami świata”.

Deklaracja ta nie była czymś frazesem politycznym o czym najdobitniej świadczy dwudziestopięcioletnia historia tego państwa. Powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej miało zasadnicze znaczenie dla kształtowania się powojennych dziejów naszego kontynentu.

Po raz pierwszy w historii powstało na niemieckim obszarze w centrum Europy, państwo demokratyczne i pokojowe, które wyrwało z korzeniami wszystkie źródła zaborczego imperializmu, wyrzekło się tradycji militarystyki i agresji i weszło na drogę budownictwa socjalistycznego.

U podstaw tych historycznych przeobrażeń leży zwycięstwo narodów Europy nad faszystowskimi Niemcami.

Dzięki konsekwentnej i wytrwałej pracy własnego społeczeństwa kierowanego przez marksistowską partię klasy robotniczej Socjali-

nej jako jej integralne ogniwo NRD, jej istnienie i rozwój, przyczyniła się w walnie do stworzenia nowego obrazu politycznej Europy, dla sprawy socjalizmu i pokoju.

Podpisana w Warszawie w dniu 8 czerwca 1974 roku wspólna deklaracja partyjno-

ej. Mierzona przemianami i osiągnięciami — to cała nowa epoka”. W tych krótkich słowach ujęty jest głęboki sens i skala przeobrażeń jakie dokonały się w stosunkach polsko-niemieckich. Warto przypomnieć, że u początku tej drogi stał Układ Zgorzelecki z 6

Perspektywy i plany obu państw na przyszłość zawarte są w porozumieniu podpisanym przez delegacje SED i PZPR oraz rządu NRD i PRL w którym czytamy:

„Treścią naszych wzajemnych stosunków było i pozostanie stałe rozszerzanie i pogłębianie więzi politycznych, ideologicznych i gospodarczych, udzielanie sobie wzajemnie pomocy w rozwiązywaniu zadań budownictwa socjalistycznego w obu krajach oraz we wspólnej walce państw wspólnoty socjalistycznej o bezpieczeństwo i normalizację sytuacji w Europie. Na zasadzie uznania polityczno-terytorialnych realiów na naszym kontynencie i o pokój na całym świecie”.

Stworzony został zatem fundament, na którym możemy spokojnie budować przyszłość naszych narodów. J. J.

SREBRNE GODY NRD

styczną Partię Jedności, Niemiecka Republika Demokratyczna wyrosła w ciągu tego czterdzięciolecia na uznanego powszechnie partnera życia międzynarodowego. Biorąc czynny udział w życiu państw wspólnoty socjalistycznej

rządowych delegacji Polski i Niemieckiej Republiki Demokratycznej z okazji 30-lecia PRL i 25-lecia NRD głosiła między innymi:

„Nasza przyjacielska współpraca mierzona czasem — to zaledwie okres jednej genera-

lipca 1950 roku, w którym Niemiecka Republika Demokratyczna u zarania swojej państwowości pierwszym swym aktem międzynarodowym uznała trwałość i nienaruszalność polskiej granicy zachodniej na Odrze i Nysie.

Z OKAZJI

osiągnięciem nowego dyrektora artystycznego teatru — Bogusława Madeja. (...) dał on możliwość kolejnej próbie choreograficznej Jerzego Makarowskiego i debiutowi twórcemu Tomaszowi Golebiowskiemu.

Pokazany w Warszawie, po słynnych rebusach inscenizacyjnych w „Czterech esejach” Tadeusza Bairda (...), spotkał się z bardzo interesującą reakcją widowni, prawidłowa chyba przy całowiecznym skupisku choreografii o niekonwencjonalnej, dyskusyjnej koncepcji i nietrywialnych w odbiorze. Byli widzowie opuszczający widownię TW już po pierwszych dwóch utworach, byli i tacy, którzy dotrwali do końca, by zgodnym chórem wykrzykiwać

„prezentowania w Warszawie dorobku Łodzi i województwa łódzkiego „Głos Robotniczy” wydał specjalny numer, w całości poświęcony sprawom najważniejszego regionu, który w zasadzie przeznaczony był dla zamiejscowców czytelnika, ale który dotarł również i do stałych czytelników gazety.

Z tej okazji — tradycyjnie już, jak to bywa przy prezentowaniu swego dorobku przez poszczególne regiony kraju — „Życie Warszawy” wydało całą kolumnę zatytułowaną „Życie Łódzkie”, którą redagowała Ryszarda Kazimierska z „Życia Warszawy”, a materiały przygotowali dziennikarze „Głosu Robotniczego”: Małgorzata Golecka, Andrzej Malisz, Zofia Szprokoff i fotoreporter Janusz Głowacki.

Prezentując kolumnę poświęconą Łodzi i Ziemi Łódzkiej, „Życie Warszawy” pisze:

„Tym razem przedstawia się Warszawie region przemysłu przede wszystkim włókienniczym. Ale nie tylko. Jest to również ośrodek łączący się w kraju i na świecie nauki i kultury”.

Istotnie. Tylko, że w materiałach poświęconych w ramach „Życia Łódzkiego” na kolumnie „Życia Warszawy” o tych ostatnich sprawach nie ma ani słowa. A szkoda.

„Panorama Łódzka” w Warszawie trwa do 20 października br., będziemy więc mieli jeszcze okazję zapoznać Czytelników „Odgłosów” z dalszymi publikacjami na łódzkie tematy. M. R.

PS. Skoro już mowa o okolicznościach wydawniczych, to warto jeszcze odnotować jedno, nie mieszczące się wprawdzie w tematyce „Panoramy Trzydziestolecia”, ale niemniej interesujące. Mam na myśli „Życie Akademickie” — wydany przez „Dziennik Łódzki”, składający się z 4 kolumn druku, wypełnionych piórami studentów, członków Klubu Dziennikarzy Studentów, a firmowany przez Socjalistyczny Związek Studentów Głowackich.

Nosili czasami pseudonimy, które potwierdzało życie, a ściślej bezpardonowa walka z okupantem. Byli ofiarni i pełni poświęcenia, a chociaż byli bardzo młodzi, to już dojrzałi i politycznie ukształtowani. Dla nich nie ustąpiła walka 9 maja 1945 roku. Żołnierze Gwardii Ludowej, a później Armii Ludowej, tworzący trzon nowo powstałych organów Bezpieczeństwa Publicznego i Milicji Obywatelskiej, jeszcze długo po zakończeniu wojny płacili najwyższą cenę za nową i odrodzoną Polskę. Jakże często ginęli bezimiennie od kul tych, co przegraszły stawkę polityczną, nie wahali się ani chwili przed wpełnieniem w ocalałą wojnę domową kraju, któremu faszyzm zadał śmiertelne rany. Tragiczne to były czasy. Po ich bohaterach pozostały póżółte fotografie w rodzinnych albumach; pozostały obeliski i bezimiennie mogiły pod wiejską topolą. Pozostała także pamięć o ich czynach, która jest zawsze żywa wśród trzeciego już pokolenia Polaków.

A potem też nie było łatwo. Wprawdzie coraz rzadziej rozlegały się skrytykowane strzały zła węgla, ale wciąż jeszcze ginęli młodzi, pełni entuzjazmu i najlepszej woli służ-

30 LAT W SŁUŻBIE NARODU

nia społeczeństwu. Nie czekały ich za trud i móżd ani order, ani nawet ciepłe mieszkanie czy pożywna strawa. Osiada kasza, śledzie otrępiowane z solt o cholewę buta oraz nadzieja, że będzie lepiej, były im jedyną zapłatą w tamtych latach.

Jeśli dzisiaj — Drogi Czytelniku — spotkasz na ulicy osiwiałego majora czy pułkownika, zdobnego w baretki najwyższych odznaczeń bojowych i państwowych, wiedz, że to żywa historia milicji — pomost między nowymi a dawnymi czasami. Najczęściej jednak spotykamy ludzi młodych, którzy milicyjny mundur założyli niedawno. To polityczni i ideowi spadkobiercy tamtych, którzy, młodzi od nich, w zniszczonych drelichach wkroczyli do wyzwolonego Lublina w lipcu 1944 roku.

Dzisiaj ci młodzi pracują już w zupełnie innych warunkach. Nie tylko materialnych, ale przede wszystkim społecznych. Dzięki dalekowzrotnej polityce partii nastąpiła dogłębna przemiana w psychice naszego społeczeństwa. Dzisiaj na ogół, wyjąwszy notorycznych przestępców, widzi się w funkcjonariuszu milicji przede wszystkim człowieka, który pospieszy z pomocą w każdej sytuacji życiowej. Ta pomoc i poparcie całego społeczeństwa jest największym dorobkiem i najwyższą formą satysfakcji za ich pracę.

Z usadnioną dumą wspominamy pierwsze lata ich służby. Wówczas zdawali historyczny egzamin. Udowodnili, że aparat nasz jest głęboko ideowy, oddany partii i sprawie socjalizmu. Jesteśmy dumni z tego rodowodu, ale chlubna przeszłość ani na chwilę nie przesłania aktualnych i przyszłych zadań. Są one niemałe. Nie chodzi nam już dzisiaj o to, aby szybko i skutecznie ścigać przestępców. Przynajmniej nie o to przede wszystkim. Doceniając znaczenie, jakie ma szybkie ujęcie przestępcy, nastawiają się głównie na to, by nie dopuścić do przestępstwa, aby możliwie największą liczbę ludzi uchronić od wejścia w konflikt z prawem. Szczególną troską w tym zakresie otacza się młodzież.

Negatywne przejawy życia społecznego starają się ograniczać i zwalczać przy pomocy całego społeczeństwa. Jest to pomoc, obok coraz wyższych kwalifikacji kadry milicyjnej oraz stojących do jej dyspozycji środków technicznych, gwarantem, że i te zadania pomysłnie wykonają dla dobra ludu i porządku, dla dobra społeczeństwa.

Społeczna ocena ich działalności stanowi najwyższą formę uznania. Toteż, jak zawsze przez 30 lat naszej pracy, starają się możliwie najlepiej wypełnić nałożone na nich obowiązki. Pełnią ją w dzień i w noc, w słońcu i pogodzie, w miastach, wsiach i miasteczkach, strzegąc bezpieczeństwa naszego państwa oraz ludu i porządku.

Na swoje 30-lecie przychodzi nie tylko z dużym dorobkiem, ale również z jasno określonym programem na przyszłość, który w syntetycznej formie mieści się w haśle sformułowanym przez partyjne i służbowe kierownictwo resortu spraw wewnętrznych: „Zaangażowaną pracę umacniać bezpieczeństwo państwa, lud i porządek publiczny, służąc ofiarnie narodowi, partii i socjalistycznej ojczyźnie”.

Prezentacja dorobku Łodzi i województwa łódzkiego w Warszawie, w ramach „Panoramy Trzydziestolecia”, a w tym dorobku kulturalnego regionu, spowodowała zainteresowanie prasy sprawami łódzkimi. Szereg imprez łódzkich odbywających się w Warszawie znalazło oddźwięk w warszawskich gazetach. Prezentujemy niniejszym omówienie ciekawszych publikacji i opinii.

„REWELACYJNA WYSTAWA”

„stwierdza w „Expressie Wieczornym” Halina Grubert, omawiając ekspozycję w salach Muzeum Narodowego — „Tendencje w łódzkiej sztuce”.

„Nie od rzeczy będzie zauważyć — pisze ona — iż dzieła te (chodzi m.in. o obrazy grupy a. r. — przyp. M. R.), które, acz charakteryzują się niezwykle często prostotą, śmiało nazwać można arcydziełami, docenianymi nie tylko u nas, ale także w całym artystycznym świecie”.

Oprawdając czytelnika po wystawie w Muzeum Narodowym, Halina Grubert pisze dalej:

„Widz obejrząwszy w Muzeum Narodowym pierwszą salę unikalnych mistrzów przechodzi do drugiej, w której znajduje pokrewne w sensie formalnym, a zblizonych klimatem i temperamentem artystycznym twórców o głośniejszych nazwiskach”.

„Łódź to w pewnym sensie „stolica” szkoły realistów, w niej grupują się, albo grupowały (skoro mowa o nieżyjących, jak Jerzy Krawczyk) wybitne jej sily”.

„Wreszcie zakończenie ekspozycji — najmłodszy, najpomysłniejszy, czy jak kto woli, najosobliwszy z twórców. Realistyczny kontynuatorów w hiperrealistach, abstrakcjoniści... ale to już trzeba nie tylko zobaczyć, ale i nawet czasem dotknąć”.

I na zakończenie:

„Wystawa niezwykle ciekawa. Grzech jej nie obejrzeć!”

NA ZAMKU

„Ciekawym doświadczeniem — pisze w „Życiu Warszawy” Wojciech Krauze — jest niewątpliwie

ulożenie ekspozycji tkaniny w odbudowywanych w stanie surowym salach Zamku Królewskiego”.

Na Zamku Królewskim w Warszawie wystawia Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi.

„Trafił chęć — pisze W. Krauze — że najlepsze eksponaty oddlegowane zostały niedawno na wystawę do Czechosłowacji, do

PANORAMA PUBLIKACJI

Warszawy zaś przywieziono drugi garnitur zbiorów. I nie ma się czego wstydzić, bo wystawa jest dobra. To świadczy najlepiej o zasobach Muzeum i o niewyzerpanej inwencji naszych twórców”.

Bowiem: „Pokaz obejmuje reprezentatywną dla naszej tkaniny grupę twórców, nie ma tutaj nazwisk nieznanymi i dzieł chybionych. W łódzkim zagłębiu tkackim doskonałe widać, kto tworzy współczesną historię włókiennictwa”.

NA SCENACH I ESTRADACH

Dwa lata minęły od występów w Warszawie Opery Poznańskiej, przypomina PCh — i oto mamy w ramach „Panoramy Trzydziestolecia” gościnne występy Teatru Wielkiego z Łodzi.

„Polskie balety współczesne” — pisze na łamach „ZW” PCh — do muzyki Kilara, Wiszniewskiego, Bairda i Sereckiego stały się przed paroma miesiącami dużym

nazwisko młodego łódzkiego debiutanta — Golebiowskiego. Cała reszta publiczności nagradzała spektakl zasłużonymi oklaskami.

Ważne PCh nie ma żadnych już wątpliwości, pisząc o pokazanym w Warszawie przez Teatr Wielki z Łodzi „Henryku VI na łowach”.

„Szczególne słowa uznania — pisze — należą się zań raz jeszcze Andrzejowi Majewskiemu i Kazimierzowi Dejmowskiemu oraz Wojciechowi Młynarskiemu, w którego zgrabnie skonstruowane i dopełnione napisane libretto wstępuje się widz z prawdziwą przyjemnością”.

I na zakończenie konkluzja: „Łódzki Teatr Wielki ma jednak w swym repertuarze szereg innych, równie interesujących pozycji. Miejmy nadzieję, że doczekamy się ich w stolicy szybciej niż przy okazji następnej „Panoramy Łódzkiej”.

Mamy i my taką nadzieję, tym bardziej że na pomysły następnej „Panoramy” wpadną w stolicy, zapewne dopiero za 20 lat.

ALBUM KALEJDOSKOPU

Od maja ukazuje się raz w miesiącu KALEJDOSKOP — Łódzki Informator Kulturalny. Rozpoczynając od informacji repertuarowych w działach teatru, filmu, wystawiennictwa artystycznego i muzealnictwa, amatorskiego ruchu artystycznego pismo ma również ambicje prezentowania postaci literatów, artystów, aktorów, reżyserów, przedstawicieli łódzkiego środowiska naukowego. Na łamach „KALEJDOSKOPU” publikowane są również materiały omawiające dorobek i zamierzenia instytucji kulturalnych, zapisywany jest dzień dzisiejszy Łodzi i jej historia. Zainteresowanie czytelników, sprzedaż poszczególnych numerów nieomal spod lady, listy do redakcji — wskazują, że taki kształt pisma odpowiada potrzebom i gustom odbiorców.

Obecnie ukazał się specjalny numer „Kalejdoskopu”, w formie 120-stronicowego albumu, w związku z udziałem Łodzi i Ziemi Łódzkiej w Panoramie 30-lecia, przeznaczony głównie dla odbiorcy warszawskiego. Doc. Helena Karwacka, także w kontekście historycznym, pisze o Łodzi w literaturze przedmiotu XIX i XX wieku. Sekretarz partii w LZPB im. Obrońców Pokoju Jan Lipski dzieli się pierwszymi doświadczeniami współpracy swej załogi ze

wartość tej publikacji. Natomiast raczej mają autorzy, kiedy zwracają się do warszawskiego czytelnika. (...) i Panorama i Kalejdoskop razem wzięte nie dają pełnego obrazu kultury w regionie łódzkim i jego stolicy... Jeśli obraz ten jest zachęcający, przyjeżdżajcie częściej do Łodzi i na Ziemię Łódzką. Jest co obejrzeć, jest czego posłuchać. Kalejdoskop pomoże wybrać to, co będzie godnej waszej uwagi”.

I rzeczywiście „Kalejdoskop” jest przewodnikiem dobrym, nie tylko dlatego że jedynym. Autorzy radzą sobie z kłopotami bogactwa i trafnie wybierają propozycje dla przyszłych czytelników, słuchaczy, widzów. I chociaż przedstawiają je w sposób zwiezły, czasami w skrócie wprost telegraficznym, dzięki starannej formie — czynią to w sposób przekonujący.

Album podzielony na podstawowe działy sztuki, otwiera seria krótkich wypowiedzi publicznych. Jan Huszcza wspomina Łódź wczorajszą. Doc. Helena Karwacka, także w kontekście historycznym, pisze o Łodzi w literaturze przedmiotu XIX i XX wieku. Sekretarz partii w LZPB im. Obrońców Pokoju Jan Lipski dzieli się pierwszymi doświadczeniami współpracy swej załogi ze

środowiskami twórczymi, w ramach akcji „Sojusz światła pracy z kulturą i sztuką”. Ten rozdział albumu kończy „Bilans otwarcia” omawiający dorobek czterech plenum KL PZPR poświęconego sprawom kultury.

W rozdziale plastyka — Janina Ładnowska pisze o tradycjach i awangardzie. Adam Nahlik o Łodzi jako centrum wzornictwa włókienniczego, niebanalnie zaprezentowano prof. Konstantego Mackiewiczę oraz sylwetkę twórcy Leszka Różni i prof. Zdzisława Głowackiego.

Teatr reprezentują: Jadwiga Andrzejewska, Ewa Mirowska, Jerzy Przybylski, Bogusław Sochnacki oraz reżyser Witold Zatorski.

Literaturę: Waclaw Billński, Tadeusz Chrościelewski, Wiesław Jajdżyński, Igor Sikirycki, Jerzy Wawrzak oraz Antoni Kasprzowicz, pisarz, który „był i jest związany ze sprawami łódzkich robotników”. Dalej red. Henryk Rudnicki, popularyzator „Henryk” z „Głosu Robotniczego”, „od 45 lat nie odkładający pióra”.

Muzykę: Henryk Czyż, Andrzej Sasiuk, Henryk Debich.

O filmie piszą Maria Sondej, Lucyna Hoszowska i Maria Kornatowska prezentując dorobek poszczególnych wytwórni.

W dziale muzealnictwa zwracamy uwagę ciekawy artykuł Ryszarda Stanisławskiego poświęcony przyszłości Muzeum Sztuki.

Ziemia Łódzka, co zrozumia-

łe, reprezentowana jest głównie przez sztukę ludową, folklor i ruch amatorski oraz Teatr Ziemi Łódzkiej.

Trudno jest w kilku zdaniach przedstawić zawartość treściową obszernego albumu, zupełnie nie sposób jego wartość estetyczną. Dziesiątki zdjęć (b. dobre portrety J. Kubika) wielokolorowy druk, staranne opracowanie graficzne każdego szczegółu. Pochwalić tylko wypada autorów samej koncepcji, a więc społeczne kolegium pod przewodnictwem Zbigniewa Godlewskiego, Zdzisława Głowackiego i Tadeusza Wolańskiego za opracowanie graficzne. Zakłady Graficzne RSW są bardzo dobrze wywiązanie się z nie tak łatwego zadania.

Wspomniałem na początku, że specjalne wydanie albumowe KALEJDOSKOPU przeznaczony jest głównie dla odbiorcy warszawskiego w związku z Panoramą 30-lecia. Jednakże wydawca tj. Urząd Kultury Miasta Łodzi zadbał również o czytelników łódzkich i odpowiednia ilość egzemplarzy albumu znalazła się także w kioskach „Ruchu” w naszym mieście. Radzimy naszym Czytelnikom nie przeczyć tej publikacji. Jest ona bowiem nie tylko, jak na nasze warunki, wydarzeniem edytorskim, ale wartościowym zapisem, odzwierciedlającym w sposób skrótowy dorobek twórców i działaczy kultury w naszym mieście.

A.B.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARVS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (roszczenia redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (druga sekretarz), Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.



Dalszy ciąg ze str. 1

NAUKA POSTĘP DOBROBYT

wa. Pragnę podkreślić, że w tej dziedzinie, dzięki pomocy naszych instytucji partyjnych i władz miejskich, osiągnęliśmy w ciągu ostatnich dwóch lat duży postęp. Niestety, zaległości są tak duże, że postęp ten pozwala jedynie na utrzymanie istniejącej sytuacji. Inaczej mówiąc, rozwój bazy lokalowej zaczyna nadążać za wzrostem liczby studentów, ale nie widać tutaj poprawy, jeśli chodzi o zle rekrutacji, które występowały przedtem.

Otrzymaaliśmy od miasta gmach dla Wydziału Filologii i zbiegu al. Kosciuszki i ul. Zamenhafa, rozpoczęliśmy budowę Instytutu Fizyki, zakończyliśmy budowę nowego domu akademickiego, kończymy budowę hotelu asystenckiego. Wkrótce rozpoczniemy budowę przychodni PALMY dla młodzieży i hali sportowej z basenem. Realizujemy zatem ciekawy program, który łączy w sobie inwestycje o charakterze socjalnym z inwestycjami o charakterze produkcyjnym. Jest to zgodne z obecną linią naszej partii i rządu: ściśle łączyć realizację zadań produkcyjnych z realizacją zadań społecznych. Za jakiegoś czasu, cztery lata, kiedy oddamy do użytku Instytut Fizyki i Instytut Chemii, sytuacja lokalowa Uniwersytetu ulegnie wyraźnej poprawie. Na razie, jak powiedziałem, utrzymujemy stałą relację między powierzchnią lokalową a liczbą studentów. Z tym jednak, że powierzchnia przypadająca na jednego studenta zmniejsza się w tej chwili w granicach tylko 60 proc. normatywów. Normatyw powierzchni dydaktycznej przewiduje powierzchnię rzędu 12 m kwadratowych na jednego studenta, my mamy w tej chwili 8 m kwadratowych na studenta. Jesteśmy więc stale grubo poniżej normy, która, nawiasem mówiąc, jest skromną normą z punktu widzenia nowoczesnej dydaktyki.

W tym roku położymy duży nacisk na udoskonalenie procesów dydaktycznych i będziemy kontynuować nasze wysiłki idące w kierunku rozwoju badań naukowych. Nie może być dobrej dydaktyki bez rozwoju badań naukowych. Z kolei dobre prowadzone dydaktyka sprzyja rozwojowi badań naukowych.

Jeśli chodzi o dydaktykę, chcemy przede wszystkim zwiększyć intensyfikację procesu nauczania. Dotąd rozwój studiów wyższych miał, w dużym stopniu, charakter ekstensywny, to znaczy następował powoli i z niewielką liczbą studentów, ale metody nauczania były ekstensywne. Intensyfikację metod nauczania rozpoczęliśmy już w ubiegłym roku. Będzie ona przebiegała w trzech płaszczyznach. Pierwsza, obejmująca wszystkich studentów, dotyczy wykorzystania nowoczesnych programów, które wprowadziliśmy w Uniwersytecie Łódzkim w minionym roku. Kładziemy w nich większy nacisk na aktywne formy zajęć studentów, więc na zajęcia typu seminaryjnego, typu proseminaryjnego, konwersatoriów, lekturaty, przy jednoczesnym ograniczeniu roli wykładów. Chodzi tu o nadanie większego znaczenia tym formom zajęć, w których student styka się bezpośrednio z pracowni-

Intensyfikacji i doskonaleniu procesów dydaktycznych sprzyja nowy system stypendialny, który podnosi wymiary stypendiów i ściśle wiąże wysokość stypendiów i premii z wynikami w procesach nauczania. Spodziewamy się, że w tym roku nowy system stypendialny w pełni ujawni swe walory, oddziałując także na postawy samych studentów wobec procesu zdobywania wiedzy.

Następnym elementem naszej działalności jest dalszy rozwój badań naukowych. Na tym polu mamy dość spore osiągnięcia. W ubiegłym roku uzyskaliśmy trzy wpisy do Księgi Czynów i Osiągnięć Nauki Polskiej. 43 pracowników Uniwersytetu Łódzkiego otrzymało naukowe nagrody ministra. Globalna suma publikacji naukowych w Uniwersytecie przekroczyła dwa tysiące. Jest to dużo publikacji. Rozwój badań podstawowych odbywa się pomyślnie. W dalszym ciągu będziemy kłaść nacisk na rozwój badań aplikacyjnych, służących przede wszystkim potrzebom Łodzi i regionu. Wypowiadaliśmy szereg problemów i powoli przystępujemy do ich realizacji. Badania aplikacyjne odgrywają bardzo ważną rolę, ponieważ od młodych ludzi najlepiej przemawia ta forma nauki, kiedy widzą, że wiedza, którą zdobywają, może być bezpośrednio przydatna w praktyce. Kierunek badań aplikacyjnych tkwi w nurcie rozwoju nauki, która w okresie rewolucji naukowo-technicznej, w którą wkraczamy w naszym kraju, staje się podstawową siłą wytwórczą. Najważniejszą sferą jest tu wykorzystanie szans, które rozwój nauki stwarza gospodarce. Trzeba sobie zdawać sprawę, że jeżeli nie zwiększymy roli nauki w rozwoju gospodarczo-społecznym Polski, to nie utrzymamy tego wysokiego tempa rozwoju społeczno-gospodarczego, które od czterech lat realizujemy w naszym kraju. Nie rozwiążemy skomplikowanych zadań gospodarczych i społecznych, które przed nami stoją.

Nasz długofalowy program przewiduje przekształcenie Uniwersytetu Łódzkiego w uniwersytet nowoczesny, otwarty, który stworzy możliwości przyjmowania na studia wszystkich kandydatów. Odnawiamy wzrost popularności uniwersytetu, stale rośnie liczba kandydatów na studia wyższe. Ale nie możemy przyjąć wszystkich, którzy chcą studiować na uniwersytecie, nie możemy nawet przyjąć tych wszystkich, którzy zdali egzaminy wstępne. Wielki problem. Niemniej zastanawiamy się, w jaki sposób, mimo wszystko, umożliwić dostęp do studiów większej liczbie osób. Nawet około 1980 roku prawdopodobnie też nie będziemy mogli przyjąć na studia dzienne wszystkich pragnących studiować, bo coraz więcej osób będzie się chciało kształcić. Po prostu nasza gospodarka nie wytrzyma... obciążenia... dla przykładu, 600-700 tysięcy studentów na studiach dziennych, czyli 30-40 proc. populacji w wieku produkcyjnym 19-24 lat. Tego nie wytrzyma żadna gospodarka. Wyjście z tej sytuacji widzę w koncepcji uniwersytetu otwartego, w szerszym rozwoju studiów dla pracujących i rozwinięciu różnych form studiów częściowych. Jeżeli na przykład ktoś chce rozszerzyć swoją wiedzę, może przyjść na uniwersytet i studiować to, czym jest zainteresowany. Na przykład nie całą polonistykę, a tylko historię literatury. Zdaje egzamin cząstkowy i ma zaliczoną historię literatury. Albo jeżeli kogoś zainteresuje gramatyka, to studium gramatyki. Do realizacji tej idei studiów cząstkowych na Uniwersytecie przystąpimy po roku 1976. Przez te formy studiów dla pracujących chcemy zaspokajać stale rosnące aspiracje kulturalne, które wywołują system socjalistyczny.

Mamy, oczywiście, cały szereg dalszych koncepcji, ale rozwój studiów cząstkowych w Uniwersytecie uważamy za zadanie pilne i bardzo ważne.

W sumie sytuację w Uniwersytecie Łódzkim oceniam jako niezłą. Nie chcę powiedzieć — dobrą, bo dobra jeszcze nie jest. Jest dużo lepsza niż była. Ważne jest, że mamy szeroki program działania i że wykonujemy go konsekwentnie. Mamy wytyczoną generalną linię rozwoju Uniwersytetu, mamy zakreślone cele strategiczne, wiemy, w jakich kierunkach będziemy zmierzać. Wiemy także przy pomocy jakich środków taktycznych będziemy osiągać nasze cele strategiczne, realizując generalną linię rozwoju uczelni.

Jakie mamy trudności w realizacji zamierzeń uczelni? Jest ich, oczywiście, dużo. Pojawiają się w miarę tego, jak się rozwijamy, od tego trzeba się przyzwyczaić. Sporo trudności sprawiają nam inwestycje. Nasze miasto wykonuje bardzo szeroki program przekształceń społeczno-gospodarczych. Rekonstruuje przemysł, przebudowuje środowiska, tworzy nowoczesną infrastrukturę. Jest to masa zadań, a możliwości przedsiębiorstw budowlanych są ograniczone, stąd też i priorytety dla wyższych uczelni są wciąż zbyt skromne. Chciałbym jednak podkreślić, że i władze partyjne, i władze miejskie robią wszystko, co tylko mogą, żeby wyższym uczeloniom, w tym także Uniwersytetowi Łódzkiemu, pomóc w ich przelamywaniu. Niemniej mogę od siebie powiedzieć, że rektor traci zbyt dużo czasu na pokonywanie trudności inwestycyjnych, które w końcu nie powinny być głównym polem działania rektora i kierownictwa uczelni. Ale tak jest. Drugi problem, który wciąż sprawia nam pewne kłopoty, to tworzenie nowego klimatu społecznej akademickiej, klimatu społecznego zaangażowania, integracji wokół rozwiązywania zadań Uniwersytetu, klimatu pewnego poświęcenia. Chociaż muszę powiedzieć, że mamy na tym polu już pewne osiągnięcia: coraz większa część społeczności uniwersyteckiej angażuje się w realizację tych zadań. Będziemy się starali te tendencje umacniać. Cieszymy się z aktywizacji młodzieży, która już współuczestniczy w zarządzaniu uczelnią. Nie tylko korzysta z należnych jej uprawnień, lecz także bierze na siebie różne obowiązki. Mamy już dosyć szeroki aktyw młodzieżowy, który pomaga nam w rozwiązywaniu naszych problemów i tworzy dobry klimat w zakresie pracy dydaktycznej studentów. Dla dużej części naszych studentów nauka zaczyna się stawać sprawą najważniejszą. Młodzież włącza się aktywnie do prac społecznych co jest zjawiskiem nader pozytywnym. Młody człowiek musi się przyzwyczajać do życia w wielkich grupach społecznych, musi się czuć ich członkiem, współuczestniczyć w ich kształtowaniu i być współodpowiedzialnym za efekty ich działania.

Reasumując moją wypowiedź, pragnę podkreślić, że wzrost roli wyższych uczelni w naszym mieście uważamy za zjawisko niezwykle ważne. Wyższe uczelnie stały się partnerem zarówno władz partyjnych jak i władz administracyjnych naszego miasta. Stawiają one przed nami określone zadania, które chętnie podejmujemy. Uważamy, że ich rozwiązywanie jest naszym obowiązkiem. Występujemy także jako konsultanci. Jest bardzo ważne dla pracownika naukowego, kiedy czuje się potrzebny, kiedy widzi, że jego praca jest doceniana. Bardzo to nas cieszy i stymuluje do wykonania nakreślonych programów naszej uczelni.

JANUSZ GÓRSKI

Niemiecka opozycja antyhitlerowska

Literatury historycznej o niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej jest u nas wciąż bardzo mało, a i ta która jest, nie całkiem czyni zadość wymaganiom wszechstronnego poznania. Historia tak sprawiła, że gdy myślimy o społeczeństwie niemieckim okresu hitlerowskiego, kojarzy się nam ono ze zbiorową historią entuzjazmu dla „wiedzy”, z faszystem i zbrodniami wojennymi: jeżeli docierają do nas mniej lub więcej sporadyczne informacje o tym, że i wśród Niemców byli przeciwnicy reżimu Hitlera, są to na ogół dane wyrwykowe, dające niepełne wyobrażenie o tym, kim oni byli, jak działali, jakie było ich znaczenie w tamtych czasach.

„Przeciwny Polak — pisze znany historyk Antoni Czubiński — przywykł był więc na ogół patrzeć na Niemców w sposób jednolity, nie miał możliwości analizowania i porównywania różnych osób i grup narodowości niemieckiej, nie zwracał też uwagi na terror stosowany przez dyktaturę hitlerowską wobec samych Niemców”.

Tymczasem antyhitlerowska opozycja w Niemczech miała wcale szeroki zasięg, ogarniała najróżniejsze orientacje ideowo-polityczne, poczynając od komunistów na lewicy, przez obojętne socjaldemokratyczne i inne ugrupowania po konserwatywną prawicę, działała wśród ludności cywilnej i w wojsku, zarówno na terenie Niemiec, jak na emigracji, reprezentowała najrozmaitsze ogólne koncepcje polityczne.

W zachodnim piśmiennictwie historycznym, w literaturze powieściowej i publicystyce szczególnie akcentuje się znaczenie ruchu 20 lipca jako tej opozycji, która stanowiła na bezpośrednią polityczną genealogię współczesnego burżuazyjnego państwa niemieckiego, opozycji wojskowej i liberalno-mieszczańskiej, obejmującej zresztą różne środowiska i nurty polityczne od prawicy, do ludzi związanych z socjaldemokracją. Ruch 20 lipca obrósł w legendę, która jest szeroko znana i kulturowana w szczególności w RFN; polskim jej echem była niedawno książka J. Putramenta, Dziejopisarstwo Niemiec zachodnich — podkreśla A. Czubiński — mało jednak zajmowało się i zajmuje „opozycją organizowaną przez członków partii robotniczych i związków zawodowych oraz szeroko pojętą lewicę społeczną”, to jest tą opozycją, która nie tylko stawiała sobie na celu obalenie Hitlera i zmianę systemu rządów w Rzeszy, ale godziła w cały system społeczno-polityczny, w militarystykę i nacjonalizm niemiecki. Ruch ten, działający zarówno na terenie Niemiec jak i na emigracji, w którym główną rolę odegrał komunistyczny, socjaldemokratyczny oraz członkowie lewicowych związków zawodowych, mimo politycznego rozbieżności i trudności, jakie napotykał w dążeniu do zjednoczenia, pomimo odmienności światopoglądów różnych grup, biorących w nim udział, podjął w najtrudniejszych warunkach hitlerowskiego terrorku próbę utworzenia wspólnego frontu wszystkich sił lewicy, uprawiając nie w pełni udaną, niemniej ważną dla przyszłości Niemiec. Ten ruch oporu, o którym wciąż wiemy zbyt mało, stanowi również polityczną genealogię, ale innych Niemiec niż ruch

20 lipca, Niemiec socjalistycznego budownictwa, dzisiejszej rzeczywistości NRD.

A. Czubiński historyk, specjalizujący się od lat w problematyce niemieckiej (przypominamy jego wydaną w 1967 r. książkę o rewolucji 1918-1919 r. w Niemczech) w swej pracy „Lewica niemiecka w walce z dyktaturą hitlerowską 1933-1945” (Iskry, 1973) pokusił się o przedstawienie polskiemu czytelnikowi całościowego obrazu różnych orientacji i nurtów niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej. Dopiero takie szersze, perspektywiczne spojrzenie na całokształt problematyki, pozwoliło na ukazanie znaczenia ruchu organizowanego przez siły lewicy, tego ruchu, który we współczesnej literaturze burżuazyjnej wciąż jeszcze bywa traktowany niechętnie. Nie wspominając już o dawniejszych ujęciach G. Rittera czy H. Rothfelsa za A. Czubińskim zwrócić uwagę na wydaną w 1969 r. w Hannoverze pracę H. J. Steinberga o ruchu oporu i prześladowaniach w Essen w okresie hitlerowskim. Polski badacz podkreśla, że zachodni niemiecki historyk zgromadził obszerny materiał źródłowy i przedstawił zarys antyhitlerowskiej opozycji w Essen, ale po to tylko, aby uzasadnić założoną z góry, obiegową w piśmiennictwie zachodnim tezę, że „opór ten nie miał sensu, że było to zbyteczne szafowanie zyciem tysięcy ludzi, ponieważ ruch ten nie tylko nie osiągnął swego celu i nie obalił reżimu, ale nie miał nawet na to żadnych szans”. Szanse zdaniami niemieckiego autora i nie tylko jego, miał ponoć jedynie ruch 20 lipca, który jak wiadomo także zakończył się niepowodzeniem i bynajmniej nie tak znowu małym siłami. Rozbieżności w ocenie zasadniczych zdarzeń: oto przykład związków historyografii z polityką, ściślej różnych historiografii z różnymi wyborami politycznymi we współczesności.

Innym, bodaj jeszcze bardziej charakterystycznym tego rodzaju przykładem, są rozbieżności sądów o tzw. „Die Rote Kapelle”, czyli grupie opozycyjnej, kierowanej przez H. Schulze-Boysena i A. Harnacka, której działalność rozwijała się od 1935 do 1942 r., a więc była stosunkowo długotrwała. Organizacja ta współpracowała z komunistami, przekazywała do ZSRR wiadomości najwyższej wagi, jak np. na wiosnę 1941 r. informowała o przygotowaniu do planu Barbarossa i dołączymy terminie uderzenia hitlerowskich Niemiec na ZSRR, posiadała stosunkowo szeroki zasięg w różnych środowiskach.

Trzeba znać przeszłość, aby zrozumieć teraźniejszość, która z niej wyrosła; trzeba mieć rozeznanie we współczesności, aby zrozumieć rozbieżności sądów o działaniach, warunkowane przez różne światopoglądy i społeczno-polityczne orientacje. Teraźniejszość bowiem staramy się zrozumieć przez przeszłość i odwrotnie, przeszłość rozumiemy lepiej, im bardziej wszechstronnie i uzasadniony jest nasz sąd o współczesności. I tak będzie już chyba zawsze.

JANUSZ GÓRSKI

LEKTOR

podarzących zaczęła się dość dawno, jeśli nawet nikt wtedy nie używał takiego terminu. Myślę, że warto poświęcić jej kilka słów, wychodząc z założenia, że skoro wśród działaczy gospodarczych pojęcie to budziło nieporozumienia, to cóż mówić o wszystkich innych, którzy z terminem tym spotykają się i mają prawo sądzić, że jest ono pojęciem mającym zastąpić do tej pory używane.

Działające do lat 1956-1957 centralne zarządy miały charakter czysto administracyjny i stanowiły ogniwo pośrednie w systemie centralnego planowania i zarządzania gospodarką. W tym to właśnie czasie doszło do zmiany w strukturze zarządzania gospodarką i w miejsce centralnych zarządów powstały zjednoczenia, przy czym w wyniku reorganizacji tylko w przemyśle zarządzanym centralnie znacznie zmniejszyła się liczba jednostek nadzórnych, gdyż kilkanaście centralnych zarządów połączono w zjednoczenia. Łączono je na zasadzie terytorialno-produkcyjnej. Niemniej w kilka lat później liczba zjednoczeń wyraźnie wzrosła, nie licząc zjednoczeń gospodarki terenowej, gdzie również zachodził podobny proces.

Przekształcenie centralnych zarządów w zjednoczenia było zabiegiem nie tylko formalnym, a wynikało z rozwoju gospodarki i techniki. W latach 1955-1956 próbowano pogłębić istote reformy z lat 1956-1957, ale zdaniem B. Glinickiego, wyrażonym w cytowanym numerze „Nowych Drog”, w obu przypadkach popełniono ten sam błąd, jeśli można to nazwać błędem. Po prostu nie doceniono wszystkich konsekwencji, jakie niesie z sobą centralne planowanie i zarządzanie. Plan centralny wpływał na zjednoczenia w sposób ukierunkowujący, koordynujący i działający, harmonizował i bilansował zadania gospodarce w skali kraju. Jednocześnie centralne planowanie, nie dysponując należytyimi środkami określania zadań gospodarczych w stosunku do poszczególnych grupowań wytwórczych, jest też narzędziem egzekwowania tych zadań w stosunku do zjednoczenia. Ale właśnie z braku środków dokładnego oceniania, egzekwowanie odbywa się w ten sposób, że zjednoczonym narzuca się bardziej ambitne zadania, wierząc w mobilizującą ich moc, a następnie — już w toku ich realizacji — dokonuje się korekt i przychodzi z różnorodną pomocą. W tej sytuacji zjednoczenia nie mogły spełniać roli, do jakiej zostały powołane, roli „wielkich organizacji społecznych”, a były bardziej instancjami nadzornymi nad zakładami przemysłowymi, instancjami narzucającymi zadania i egzekwującymi ich w miarę pełno wykonania. A więc już w momencie tworzenia zjednoczeń powstały również przesłanki dalszego ich reformowania, tym bardziej żeżesz, że wiele z nich kształtowało się na zasadach, jakie postęp techniki i technologii doprowadził do absurdu.

Myślę tu przede wszystkim o zjednoczeniach przemysłu lekkiego, w którym to przemysle postęp techniki i technologii znacznie wyprzedził postęp organizacyjny i dziś powstała sytuacja, w której struktura tego przemysłu jest już anachroniczna, gdyż kształtowana była na zasadach podziału surowcowego lub metod wytwarzania. Tymczasem właśnie w wyniku postępu w technice i wprowadzania coraz to nowych metod wytwarzania na przykład w przemyśle włókienniczym stosuje się techniki dziewiarskie, a włókna sztuczne otrzymano już nie tylko w przemyśle jedwabniczym. Powstanie Zakładów „Teofilów” w Łodzi dowodzi również potrzeby integracji przemysłu tekstylnego z konfekcyjnym i stanowi próbe utworzenia kombinatu, opartego na zasada-

chle zgrupowania w jednym organizmie gospodarczym całości produkcji, aż do produktu finalnego włącznie.

KRYTYKA zjednoczeń, jaką przeprowadzono w latach 1968-1969, wykazała, że operatywny styl kierowania ich pracą przez ministerstwa wpływa ograniczająco na zakres uprawnień tych organizacji gospodarczych; nie dysponują one dostatecznymi środkami na rozwój podległych im przedsiębiorstw oraz nie dysponują miernikami oceny pracy przedsiębiorstw, co znacznie utrudniało prowadzenie właściwej polityki kadrowej przez zjednoczenia. Wtedy to właśnie zaczęto interesować się kombinatami, tym bardziej że takie doświadczenia posiadała już NRD, a także zaczęto interesować się idea kombinatu.

Poszukiwanie nowych rozwiązań organizacyjnych wynikało jednak nie z zamiłowania do nowinek, a było konsekwencją dokonującej się w kraju re-

formacji gospodarczej — zwane czasem w skrócie WOG — mają bowiem możliwość organizacyjnego wiązania w całość skomplikowanego współzależnie cyklu produkcyjnego, mogą skuteczniej wykorzystywać skomplikowane wzajemne kooperacyjne, koncentrować pod jednym zarządem różne zakłady wytwórcze, opierając te powiązania w wspólnym rozrachunku gospodarczym, mogą też w stopniu większym niż to było możliwe do tej pory wykorzystywać osiągnięcia naukowe, wiążąc silniej naukę z przemysłem.

„W zasadzie przyjęto tezę — pisał w październiku 1973 roku w „Nowych Drogach” Józef Pajestka — że struktura organizacyjna zarządzania powinna być oparta na dużych organizmach gospodarczych. Nie jest to jednak dogmat, ale rozwiązanie uzasadnione społeczno-

logicznie wymagają nowych rozwiązań organizacyjnych.

„Z prowadzonych badań wynika — stwierdził Jerzy Kortan na wspólnej konferencji Uniwersytetu Łódzkiego i Uniwersytetu im. Karola Marksa w Lipsku — że najistotniejsze problemy organizacyjne przedsiębiorstw dużych i wielkich to na ogół trudności wzrostu. Co za tym idzie, rozwiązania organizacyjne w dużym przedsiębiorstwie muszą być inne niż w średnim, a w średnim inne niż w małym. Wskazuje to na konieczność badania związków między wzrostem przedsiębiorstwa a jego konstrukcją organizacyjną”.

Jerzy Kortan rozróżnia dwa rodzaje wzrostu przedsiębiorstwa. Pierwszy — niejako naturalny — dokonujący się przez zwiększenie zatrudnienia i zwiększenie wyposażenia technicznego. I w tym wypadku nowi ludzie i nowe środ-

zamiem się nie zgodzić — że struktury organizacyjnej nie można traktować w sposób statyczny, że podlega ona również zasadom dynamicznego rozwoju i powinna być podobnie planowana i prognozowana jak inne dziedziny działalności gospodarczej.

Z podobnym poglądem wystąpił na wspomnianej konferencji naukowej Uniwersytetu Łódzkiego i Uniwersytetu im. Karola Marksa w Lipsku (która odbyła się niedawno w Łodzi, a na której nad sprawami organizacyjnymi WOG radził specjalista polski i z NRD, zajmujący się sprawami organizacji zarządzania) — Johannes Schmidt z Lipska. Jego zdaniem do głównych dróg socjalistycznej racjonalizacji produkcji między wprowadzaniem nowych metod wytwarzania i nowej techniki, modernizacji, mechanizacji i automatyzacji produkcji, obok wprowadzania elektronicznych systemów przetwarzania danych i doskonalenia organizacji produkcji — ważną rolę odgrywa naukowa organizacja pracy, która obejmuje też naukową organizację zarządzania. Wszystkie wymienione czynniki Johannes Schmidt traktuje jednakowo ważne, uważając, że tylko jednocześnie ich wprowadzanie może dać pożądane wyniki.

WSPÓLPRACA NAUKOWA specjalistów od zagadnień organizacji zarządzania może i powinna mieć znaczny wpływ na doskonalenie systemów zarządzania dużymi organizacjami gospodarczymi, zważywszy potrzebę prowadzenia równoczesnych a nawet wyprzedzających prac nad organizacją WOG. Naukowcy z Łodzi i Lipska mają w tej dziedzinie spory dorobek, a sprawa jak on jest u nas wykorzystywany w praktyce, a już pierwsze naukowe spotkania i dyskusja na nim wykazała pożyteczność zarówno prowadzenia badań równoległych, jak i podziału pracy naukowo-badawczej. Co prawda, na pierwszym naukowym spotkaniu wiele uwagi poświęcono ustaleniom terminologicznym, niemniej wspólna dyskusja nad zagadnieniami związanymi z doskonaleniem systemu zarządzania WOG powinna okazać się wielce pożyteczna dla praktyków, a Uniwersytet Łódzki udostępnił zapis tej dyskusji placówkom naukowym przemysłu. Pożyteczność tej współpracy ma jeszcze i ten walor, że powinna pozwolić praktykom uniknąć wielu błędów i niedokładności, jakie popełniono w NRD, tworząc wielkie organizacje gospodarcze.

Zapoczątkowane w Łodzi spotkanie naukowców, zajmujących się sprawami zarządzania w przemyśle będzie kontynuowane i w przyszłym roku specjalnie z Łodzi i Lipska będą radzili nad ekonomicznymi zagadnieniami racjonalizacji zarządzania produkcją w przedsiębiorstwie. Planowane spotkanie odbędzie się tym razem w Lipsku.

III.

CIĄGŁOŚĆ I ELASTYCZNOŚĆ procesu wielkich organizacji gospodarczych — jak to próbowałem pokazać zarówno w krótkim zarysie historycznym i w świetle prac naukowców — zakłada konieczność doskonalenia nie tylko struktury produkcyjnej WOG, ale i ich struktury organizacyjnej, wiążąc te dwie sprawy nierozdzielnie, na co nie zawsze zwraca się uwagę w działalności praktycznej. Nie są to oczywiście jedynie wnioski ze spotkań naukowców Łodzi i Lipska i myślę, że będzie jeszcze okazja powrócić do wielu innych interesujących spraw i problemów.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WOG czyli ELASTYCZNOŚĆ POSZUKIWAŃ

wolucji naukowo-technicznej, konsekwencji postępu technicznego, modernizacji wielu dziedzin wytwarzania. Zdano sobie wówczas sprawę, że system organizacji zarządzania i planowania w gospodarce, jeśli nie ulegnie zmianom, będzie hamował dalszy postęp, stanie się czymś w rodzaju gorsetu, który skrepuje wzrost gospodarki. Dokonana w tym czasie zmiana w polityce partii na VII i VIII Plenum KC PZPR stworzyła nowe warunki i dla zmian w metodach zarządzania gospodarką, przywracając jedność polityki i ekonomii i wyraźnie określając cele działania: dobro człowieka, poprawę jego sytuacji materialnej, tworzenie lepszych warunków życia wszystkim ludziom pracy, z jednoczesnym kształtowaniem warunków dla dynamicznego rozwoju społeczno-gospodarczego kraju.

Wynik prowadzonych wówczas dyskusji i poszukiwań znalazł w uchwałach VI Zjazdu PZPR następującą dyrektywę: „Zasady ekonomiczno-finansowe działalności przedsiębiorstw trzeba oprzeć na konsekwentnym działaniu rozrachunku gospodarczego. Instrumenty ekonomiczne, związane z obowiązującymi w przedsiębiorstwach i dużych organizacjach gospodarczych zasadami rozrachunku gospodarczego, powinny zwiększać rolę kryteriów zysku i rentowności, obniżki kosztów własnych i wzrostu wydajności pracy. Ma to szczególne znaczenie dla dużych organizacji gospodarczych stanowiących podstawowe ogniwa systemu zarządzania. Są nimi zjednoczenia i kombinaty, których struktury organizacyjne i społeczne należy dostosować do specyficznych warunków ich działalności i zadań, jakie mają spełniać dla dalszego rozwoju gospodarki narodowej”.

Tworzenie dużych organizacji gospodarczych uzasadnione jest stopniem rozwoju nauki i techniki. Duże organiza-

ekonomiczną racjonalnością działalności gospodarczej w dużej skali. Przyjęcie tej zasady nie zwalnia nas od stałego kontrolowania jej słuszności i przyjmowania innych rozwiązań uzasadnionych w przypadkach, jeżeli mogą dać one lepsze wyniki”.

Z dotychczasowych doświadczeń i prognoz wynikała się obraz elastycznej struktury organizacyjnej gospodarki opartej na:

- zjednoczeniach grupujących przedsiębiorstwa o produkcji jednorodnej,
- zjednoczeniach mniej zcentralizowanych i mniej zintegrowanych i grupujących przedsiębiorstwa wytwarzające różne wyroby,
- kombinatach grupujących bądź to zakłady wytwarzające ten sam produkt, bądź kooperujące ze sobą,
- samodzielnymi przedsiębiorstwach wielozakładowych podlegających bezpośrednio ministerstwu,
- zrzeszeniach przedsiębiorstw samodzielných.

II.

TWORZENIE WIELKICH ORGANIZACJI GOSPODARCZYCH jest procesem ciągłym. W miarę dalszego rozwoju gospodarki, nauki, techniki i technologii, a szczególnie w miarę postępu modernizacji wielu gałęzi gospodarki dokonywana się będą przegrupowania organizacyjne, których celem jest doskonalenie działalności gospodarczej, podporządkowane uzyskiwaniu większych efektów, służące i sprzyjające dalszemu dynamizowaniu gospodarki kraju. Proces ten rodzi jednak różnorodne trudności, a zdaniem naukowców z Uniwersytetu Łódzkiego, zajmujących się badaniem problemów organizacji zarządzania, są to sprawy nie tylko związane z ilościowym wzrostem przedsiębiorstw, ale z nowymi jakościami, jakie powstają w toku wzrostu i

ki techniczne włączane są do istniejącej struktury organizacyjnej. Drugi rodzaj — to łączenie w jedną całość przedsiębiorstw tej samej branży i wytwarzających taki sam produkt oraz łączenie bądź to przedsiębiorstw różnych branż, bądź też samej, ale wytwarzających poszczególne produkty, składające się na produkt finalny. I w tym drugim rodzaju łączenia przedsiębiorstw powstaje konieczność dokonania zmian organizacyjnych. Jest to problem trudny i dość często niedoceniany.

Jeśli wzrost przedsiębiorstwa odbywa się w sposób ciągły, rozłożony w czasie, to w miarę tego wzrostu kierownictwo zakładu przemysłowego zaczyna odczuwać skostnienie struktury i daży — również w sposób powolny — do przekształcenia tej struktury, dopasowania jej do nowych warunków. W wypadku jednak, kiedy rozwój przedsiębiorstwa odbywa się skokiem, to skutki niedopasowania struktury organizacyjnej ujawniają się nagle i to w formie gwałtownych zakłóceń procesu produkcyjnego. Jest to zjawisko o tyle niekorzystne, że uświadomienie sobie przez kadre kierownicze nowego tworu gospodarczego, a w dodatku dużego tworu, złożoności i anachroniczności struktury organizacyjnej przychodzi nagle i nagle przystępuje się do zmian, popełniając w gorączkowym działaniu nowe błędy i niedokładności. Utrudnia to funkcjonowanie WOG, obniżając ich wyniki ekonomiczne, da intensyfikacji których zostały przecięt powołane. Zakłóca to sprawność funkcjonowania całości organizmu gospodarczego.

„Zatem — zdaniem Jerzego Kortana — przy tego rodzaju skokach wzrostu nie można się dawać zaszkoczyć ani zmuszać naciskowi zewnętrznemu, ale już uprzednio należy planować rozwój, przewidując przyszłe zmiany”. Jerzy Kortan jest zdania — i trudno z tym

oko na gospodarke

Jeden z moich przyjaciół, człowiek nie tylko pilnie obserwujący, ale w równym przynajmniej stopniu aktywnie uczestniczący w naszym życiu gospodarczym, wskazywał na doniesienia prasowe o wykorzystywaniu przez zakłady leżących w rezerwie i możliwości wylówezych, zauważył przy tej okazji:

— Popatrz. Ile to jeszcze da się zrobić, jak wiele środków i sił można z wielkim pożytkiem wykorzystywać! — Powiedzieć — to oczywiście sprawa problemów czy szans, które bardziej właśnie — racjonalnie rozwiązane, pomysłowe, dokładające się złowiska do złotowisk sumują już nie w dziesiątki milionów, lecz w miliardy. Chocby dla przykładu budownictwo. Mówimy słusznie: budujemy drugą Polskę. Mam jednak wrażenie, iż równocześnie z tym gospodarskim wysiłkiem, pochłaniającym przecież spora część naszego dochodu narodowego, warto i konieczne trzeba podjąć odpowiednie praktyczne i skuteczne kroki dające odpowiedź na wcale niebagatelne pytanie: jak konserwować, zadbać i właściwie wykorzystywać to co już wybudowaliśmy?

Obserwacje, choćby te z najbliższej „okolicy” są w tym względzie niezwykle pouczające. Przypatrzcie się osiedlom mieszkalniowym oddanym do użytku nowożytny przed 3-4 laty. Jak wiele z nich straszny poniesionymi nie tylko za sprawą aury elewacji, ale tam uszkodzonych skądinąd bardzo potrzebnych i pożytecznych urządzeń, instalacji, powybijanych szyb, odrapanych ścian, słowem — zaniedbań. To sprostowania. A gdzie włośki? No, cóż sprawa tego jest człowiek, luźka beżmyślność i pokutujący je-

sze w części naszego społeczeństwa brak poszanowania dla wspólnej przecież własności. Jak i chyba — rzymskie stwierdzenie z całą świadomością — egiptologicznie niedoskonalą organizację i technicznie aparat, które powołano niekiedy automatycznie przeciwdziałać tego rodzaju uszczerbkom w majątku narodowym, w porę i sprawnie naprawiać, zapobiegając skutkom, jakie ze sobą dla „materii” niesie niszczenie czasu. Myślę też, że kto wie, czy za sześć lat nie będzie to odzwierciedlać „kieszy”? Nie twierdzą, że cel nowego środka, ale jeśli ta Kowalski odczuje w swoim portfelu bezmyślnie wyrzuty swojej nieochęci (czyby tylko o dzieć i młodzież chodziło...) to w niczym nie naruszy to socjalistycznej zasady społecznej własności, a nawet odwrotnie — utwierdzi ją. Słowem: budując — że powtórzmy — drugą Polskę, odpowiednio zadbać i pomyśleć o tej pierwszej. To też jest rezerwa bardzo, ale to bardzo poważna.

W taki doświadczenia i pośredni sposób doszliśmy do sprawy, którym w istocie ma być poświęcone ten felieton o aktualnych, królowych problemach ekonomicznych. Jest ich wiele, mimo że tak dużo rzeczy jeszcze przed 3-4 laty podobno zupełnie niemożliwych nawet do podjęcia, nie mówiąc już o reaktywnym rozwiązaniu, stało się zupełnie realnymi. Ma — w oświacie za czasem, zapinającymi racjami, które musiały wiele z tym zamiarów zamienić w konkretne dające się wyczuć fakty ekonomiczne i socjologiczne. Do tych zjawisk trzeba z pewnością zakwalifikować to sięgnięcie na dziesięć lat więcej w różnym dziedzinach krajowej wytwórczości i całej krajowej

BEZ OGRÓDEK

ekonomie możliwości i moce. Rezultaty są wiadome: grubo przekroczyliśmy owa pozornie trudną do osiągnięcia barierę 20 miliardów złotych przysporzonych dodatków gospodarce, a przede wszystkim rynki.

Może w tym miejscu któryś w PT Czytelników obruszy się na mnie. Rozumiem: chodzi o użyty zwrot „później trudna bariera”.

A ja powiedziałem to z całą premedytacją. Nawet — przyznaję prozno o wyrozumiałość — by nieco rozdzielić ewentualnych oponentów. Korzystam po prostu z niepisanej reguły felietonu, w którym można rzucić kamyczek nawet do najbardziej klarownej wody, czy zdanego i pozbawionego chwastów ogródka.

Właśnie — mówię „bez ogródek”. Ludzie „śledzący” w naszym problemach przemian ekonomicznych dzie-

łoby się powiedzieć — oczywiście zabiegaj np. organizacyjnie, w bardziej prawidłowym określeniu profilu produkcji czy wyposażeniu parku maszynowego. Zaodża się jednak chyba wyszyje, że taki stan rzeczy, a raczej etap zagospodarowywania nie może być uznany za końcowy. Raczej jest to chyba początek drogi. Prowadzącej dokąd?

Odpowiedź nasuwa się niejako automatycznie, ale zostawmy ją na razie przy najmniej w spokoju. Natomiast głos oddajmy faktom.

A więc, czy wiecie, że: w Polsce na wyprodukowanie 1 m sześć betonu zużywa się średnio 375 kg cementu, gdy w innych rozwiniętych krajach Europy tylko około 275 kg. Przypomnijmy, że cement jest u nas materiałem wysoce deficytowym i ostatnio zakupiliśmy — właśnie dla pokrycia tego deficytu — dwie kompletnie wyposażone cementownie (za „twardą dewizę”). Jeszcze jeden przykład z budowlanej branży: ciężar tzw. obudowy w obiekcie mieszkalnym, przypadającym na 1 osobę zajmującą i zbędo o powierzchni 10 m kw., równy jest u nas 20 tonom. Obliczono, że istnieje realne możliwości obniżenia ciężaru tej obudowy — a tym samym zmniejszenia zużycia materiałów — od 25 do 50 proc. i to tak w budownictwie niskim, jak i wysokim. Podobno — tak twierdzą naukowcy — tylko 6 proc. elementów budowlanych pełni w obiektach obecnie wznoszonych rolę zgodną z ich funkcją nośną. Reszta ma nadmierną wytrzymałość, wykorzystywana tylko w 80 proc. Oceńna się, że z tego powodu marnujemy w kraju przez nadmierne zużycie około 20 proc. cementu.

Właśnie. Budownictwo i dziedzinę z nim związane nie stanowią tutaj wyjątku, a raczej dogodnego pola dla dobrej „z pomyslnikiem” wykonywanej roboty. Tak, bo oto jeśli Francuzom wystarcza zupełnie „do szczęścia” nieco ponad 200 kg stali na wytworzenie cząstki dochodu narodowego wartości 1000 dolarów, Włochom — 280 kg, to my zużywamy na ten sam cel aż 400

kg stali, której też nie mamy przecież w nadmiarze. Równocześnie — średnio biorąc — polskie maszyny w porównaniu do analogicznych budowlanych m. in. w CSRS i NRD, są o 20 proc. cięższe, a dotyczy to szczególnie obrabiarek. I jeszcze jeden fakt sprawdzony i precyzyjnie obliczony: skrócenie tylko o 15 minut nieuzasadnionych postojów wstępnych każdego dnia w przemyśle, m.in. na skutek wadliwej organizacji pracy, daje w ciągu roku dodatkową produkcję wartości 50 miliardów złotych.

Sadzę, że te przykłady są aż nadto wymowne. W dodatku — i to jest najistotniejsze — odnośnie się w całej pełni do zakładów, które już legitymują się w wykorzystaniem rezerwami.

Tak, tylko że ten rodzaj rezerwy uznalibyśmy za trudniejszy do osiągnięcia, kwia ono glebiel, wymaga ją, kiedy nawet grzebiel w mentalności, w sposobach podchodzenia do całokształtu procesów zachodzących w przedsiębiorstwach krytycznych, ekonomicznych właśnie podchodzenia do procesów powstawania każdego z osobna wyrobu, przy czym cała rzecz zaczyna się w tym momencie, gdy o danym wyrobie, produkcie ledwie myślimy, planujemy uruchomienie jego wytwarzania, choć — budowania jeśli o inwestycje chodzi.

Są więc jeszcze rezerwy czy ich nie ma? Na to pytanie odpowiedzieć sobie Czytelnicy już sami. Przypatrzcie się pozornie nie nie znaczącym jak i tym od pierwszego spojrzenia wielkim problemem. Może to być zbyt mocno zniszczone „blok” w Twoim osiedlu, jak i obrabiarka produkowana dla krajowego przemysłu lub na eksport. Myślenie bowiem ma wszędzie przyszość.

To od dawna wiadomo.

KRYSZTOF POGORZELEC



SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

STANISŁAW BRUCA

przyjęty niemal obojętnie, tak szybko popadł w zapomnienie. Znamienny dla poezji Bruca jest fragment wiersza „Dynamo”:

Na ostrym olimpie kominów stol
apollu żelazny
Motor przeżacy mięśnie jak koń
nawoony rzy
O przelej potoki wrzacej płynnej
stajowej plazmy
W ulice bulwary gwarne moich
huczących żył
Kulistość mej głowy dzwonnej teskni do
kwadratury
Gwinty pazurów mej stopy chcą być
ujarzmione szyną
Otrąbię na ctery strony przez rak i nóg
mych rury

Nie chcę już być człowiekiem chcę być dynamo-maszyną, głoszący (wspólna dla futurystów i pierwszego etapu Awangardy krakowskiej) apologię maszyny.

Te „hymny do maszyny mego ciała” (jak zatytułował jeden ze swych głośnych wierszy Tytus Czyżewski) operowały nie tylko prostą skalą wartości (w cytowanym fragmencie opozycja kultury i nowej cywilizacji wygrana jest na korzyść tej ostatniej), ale także dość ograniczonym repertuarem środków formalnych: patosem, antropomorfizacją, hiperbolizacją. Podobnie i realia nowej cywilizacji, bezpośrednio wprowadzane do wierszy, są wyraźnie ukierunkowane na apologię techniki: „łódź podwodna torpeda R-3” — „ład podwaja rufą jak prętem”, — w „Pochwale pracy” zjawia się cała lista bohaterów nowej cywilizacji: „palacz okrętowy”, „giser”, „tokarz”, „stolarz”, „kował”, a poeta wyzna: „Ślawie ogromny warsztat świata”.

Znamienna dla tego futurysty jest postawa, którą określić by można jako dążenie do uchwycenia rzeczywistości w toku stawania się. Nie stan, ale proces; nie to, czym świat jest, ale czym się staje:

Kanty krzyków kamiennych kołami
drażonych
Dreń na strzepy tachmany
wyswiechtanych przeżyć
Skrypcem domów się ostro wydłużają
krzywy
Przerósł je lamie lazur dzwony szumem
chodników
Kował reżyser buntu ogromny jak
Griffith
Miotem mosiężnej pięści dni kowadło
wykul.

„Z rzeczywistości mi się słów wytopiło złoto” — pisze w tym samym wierszu („Trotuary”). Przeświadczenie to wspólne było dla całego ruchu futurystycznego. W poetyce sformułowanej stanowisko to precyzowane było odmiennie: „słowo staje się przyrzędem jednoznacznym i konkretnym, skrócona metafora — obra-

zem materialnym i żyjącym, nowy zaś utwór poetycki wyraźnie zdradza poszukiwania autora w kierunku konstrukcji twórczej i odrębności swistej, całkowicie niezależnej od otaczającego życia. (...) Twór artystyczny powinien być ekwiwalentem rzeczy”. („Sztuka i rzecz”, „Nowa Kultura”, 1924, nr 1). Zdania te wiele już zawdzięczają teozom Tadeusza Peipera, który podkreślał autonomię dzieła literackiego i postulował ekwiwalentyzację jako metodę wyrazu poetyckiego.

Jak już zaznaczyłem na wstępie, poeci debiutujący w okresie „Almanachu” (1924—1925), a więc Bruca, Gacki, potem także B. Iwanowski i S. Gredziński, startowali w chwili szczególnie niepomyślnej. Z jednej strony bowiem ruch futurystyczny przeżywał kryzys, ustępując pola rozszerzającym się wpływom „Zwrotnicy” (organu awangardy krakowskiej), z drugiej — dołączali przecie do grupy posiadającej już ukształtowaną hierarchię wewnętrzną. Jakkolwiek zatem cenieni przez współczesników ruchu (zdaniem Anatola Sterna w tomie Bruca nastąpiło „ujednordnienie tworzywa poetyckiego”, a także modelowe uchwycenie „synkopowego myślenia współczesnego człowieka”), byli praktycznie nieobecni na rynku czytelnicy. Bruca zresztą szybko zrezygnował z twórczości poetyckiej, zajmując się najpierw pracą dziennikarską (w latach 1925—1931 przebywał w Paryżu, gdzie pisał dla prasy polskiej i francuskiej), a następnie przekładową. Po wojnie pracował w redakcjach „Polski Zbrojnej” i „Kroniki”. Był krytykiem literackim i teatralnym, którego wystąpienia budziły żywy odzew, ale poza przekładami Gorkiego i Vaillanda pozycję Bruca wyznacza jednak właśnie twórczość z okresu międzywojennego.

W przyszłym roku minie pół wieku od daty debiutu książkowego Stanisława Bruca. Dobra to okazja, sądzię, do wznowienia zbioru jego wierszy, zawierającego także wybór najważniejszych szkiców programowych z tamtych lat. Wiele utworów z tomu „Bitwa” stanowi dokument literacki minionej epoki, burzliwej, odkrywczej, niespokojnej. Są wśród tych tekstów jednak nie tylko takie, których walor polega na dopełnianiu całościowego obrazu polskiego futuryzmu, ale również takie, które posiadają nieprzedawnioną, samoistną wartość.

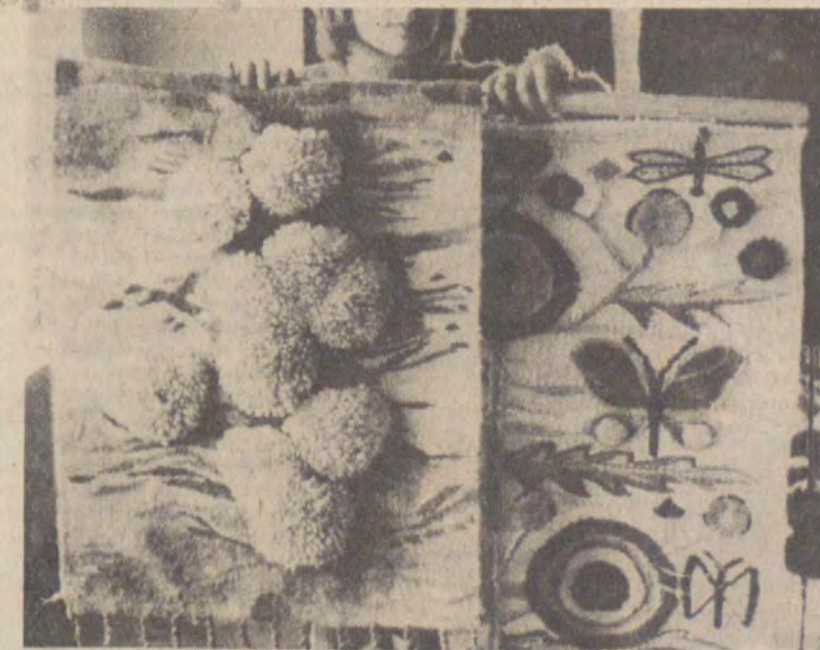
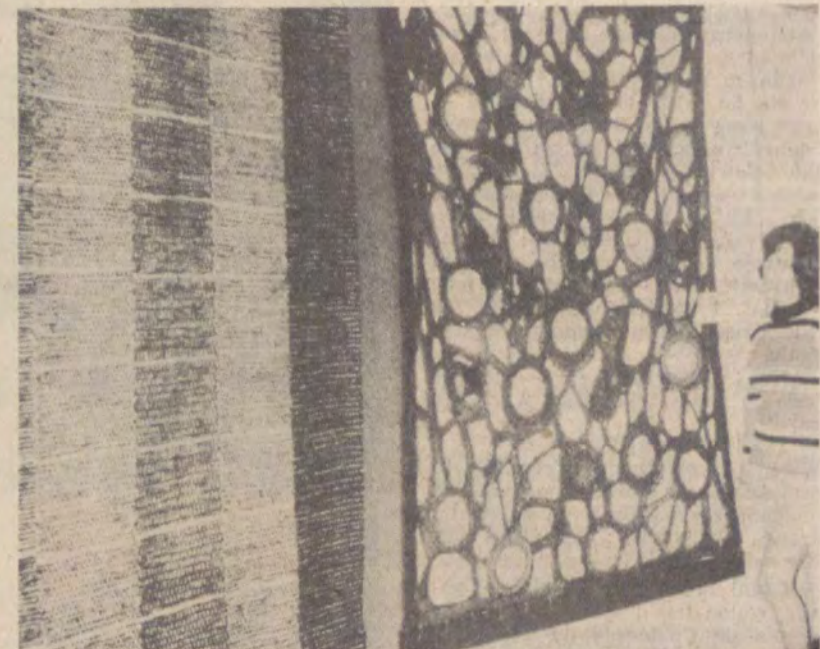
ANDRZEJ K. WAŚKIEWICZ

Stanisław Bruca (ur. 13 listopada 1899 roku w Warszawie) znany jest dzisiaj jako autor przekładów z literatury francuskiej (Y. Farge, R. Gaudry, P. Tillard, R. Vailland) i rosyjskiej (M. Gorki, G. Plechanow). Tymczasem historyk literatury ma prawo upomnieć się o Bruca — poe-
ta, I to poeta odgrywającego w latach dwudziestych znaczną rolę w „Almanachu Nowej Sztuki” — czasopiśmie ruchu futurystycznego. Był to trzeci — po grupie krakowskiej (Jasieński, Młodziejewicz, Czyżewski) i warszawskiej (Stern, Wat) — ośrodek opiniotwórczy polskiego futuryzmu.

Pierwsze wiersze Bruca zamieścił „Skamander” w roku 1923, w dwa lata później zaś ukazał się pierwszy (i ostatni zarazem) tom jego poezji pt. **Bitwa**. Już po następnych dwóch latach Stefan Napierski nazwał go „poetą zapożyczonym” („Epoka”, 1927, nr 333). Zapomnienie, okrywające poetycką twórczość Bruca, trwa nadal. Jeszcze Seweryn Pollak i Ryszard Matuszewski w antologii „Poezja polska 1914—1939” przypomnieli trzy jego wiersze; w wydanej ostatnio antologii Stanisława Grochowiaka i Janusza Maciejewskiego nie ma już ani jednego. Gwoli ścisłości — pomija je także większość antologii „z epoki” (np. Adama Galińskiego „Poezja Polskiej Odrodzonej”, Łódź 1931). A przecież, jak się zdaje, nie można lekceważyć zdania Aleksandra Wata, który „Bitwę” nazwał „pierzwszorzednym tomikiem”, nie można zapomnieć o artykule Jana Brzokowskiego „Kilka uwag o poezji tzw. Nowej Sztuki”, gdzie Bruca występuje jako reprezentatywny poeta futuryzmu, nie można wreszcie pominąć artykułów Napierskiego, upominających się o przywrócenie poezji Bruca miejsca w świadomości czytelników...

Tom Bruca ukazał się w kilka lat po debiutach futurystów krakowskich i warszawskich, a równocześnie z pierwszymi „książkami” Przybysia, Brzokowskiego, Kurka. Wraz z tomem S. K. Gackiego, „Bitwa” zamysłowała więc „bojowy” okres futuryzmu. W tym fakcie kryje się odpowiedź na pytanie, dlaczego zbiorek Bruca,

Targi tkaniny artystycznej



Fot: W. Parys

Po raz drugi zorganizowano w Łodzi TARGI POLSKIEJ TKANINY ARTYSTYCZNEJ. Targi odbywają się w salach Muzeum Historii Włókiennictwa, a ich organizatorami są Zakłady Artystyczne „ART” w Łodzi, Współorganizatorami: natomiast — Biuro Handlu Zagranicznego „DESA” i „COOPENDI CPLA”.

Łódź stała się uznanym ośrodkiem tkactwa artystycznego. Zajmuje się tym w Łodzi około 400 artystów-włókienników, współpracujących z przemysłem i tworzących tkaniny artystyczne z uznaniem przyjmowane i nagradzane na zagranicznych i krajowych wystawach.

Na tegoroczne TARGI POLSKIEJ TKANINY ARTYSTYCZNEJ prace zgłosiło przeszło 100 artystów z całego kraju. Ich dzieła przeznaczone są dla odbiorców krajowych zarówno instytucji jak i osób prywatnych. Pierwszeństwo zakupu mają jednak muzea.

TOMASZ SOLDENHOFF

Kolumbowie w gęstej mgle

— Śnieg! Śnieg w lecie! — rycza aż echo zwielokrotnia głosy o ściany granitowego kotła.

— Panie! Ile do tego śniegu jest?... Wypadli na wpół pijani z zasapanego autobusu. Biegiem okrążają staw, potykając się na głazach ścieżki.

— No co, idziemy dalej? — zaczyna mnie chłopak w jaskrawożółtych i miękkich półbutach, rozglądając się nieprzytomnie.

— O, przepraszam — myślałem, że to kolega... — zauważa pomyłkę. Idę z plecakiem.

Z koloryzowanych wódką oparów „wycieczki w Tatry”, duchoty autokaru w rzeszkę, białą, ciastną mgłę górską; Pawilon gastronomiczny we Włosienicy — dwa piwa, bar w piwnicy schroniska — dwa piwa, restauracja nad Morskim Okiem — dwa piwa. Uderzenie czystego powietrza. Dystans — półtora kilometra. Na własnych nogach. Niżej czeka zakładowy autobus. Trzeba się śpieszyć.

Przy zmniejszonej widoczności i osłabionym zmysle oceny sytuacji cel, choćby najdalszy i najwyższy równie się przybliża. Znika skala trudności.

Trzech panów w odświętnych garniturach skręca ze ścieżki obok tablicy TPN („Nie zbaczaj ze znakowanego szlaku, nie rób skrótów, znajdujesz się w parku narodowym!”) i deptając rezerwatową roślinność, po usypującym się, kruchym stożku zdradliwego piargu, pnie się ku zalegającym wylot stromego, męgoszowickiego zlebu, brudnoszarym płatom śniegu.

Pohukiwania na tych co w dole. Radość, wyzwolenie, heroizm. Tamci odpowiadają, echo niesie.

Zawód i zniechęcenie, gdy po forsownym marszu „puszysty śniegu tren”, kuszący z dala, okazuje się szarym, twardym i zlejącym niesympatycznie „wiecznym lodem”.

— Panie! To daje się po tych górach chodzić? — pyta ktoś, przystając na chwilę. — Bo widzę plecak! — dorzuca

Paradoks! Turysta czy taternik w normalnym górskim stroju, w pumpach, ciężkich butach i w welnianych, grubych skarpetach — bez różnicy: na rynku w Krakowie, na Piotrkowskiej w Łodzi, czy... pod schroniskiem w „sercu polskich Tatr”, jak się je ładnie określa — Morskim Oku, w górach, jednakowe wywołuje zdumienie, budzi wątpliwość, prowokuje komentarze... głośne i chamskie, ściszone i szydercze.

Zapuszczam sondę. Dzień spędzony na krakowskim aściele w taternickich buclorach „Brixia” i wzorzystych skarpetach.

— Wariat! — słyszę, mijając któraś z tutejszych, ciemnych bram.

Może wymienił co?... — obok restauracji „Popularna”, na Małym Rynku, atakuje jakiś osobnik.

— Cooo...? — pytam w odpowiedzi. — Ach, wziąłem pana za Austriaka... — czeluzna wybalusza oczy.

Niestety, ja tylko z polskich gór. W kieszeni kilkanaście złotych. Wracam przez miasto wojewódzkie, z którego do Tatr sto zaledwie kilometrów, natomiast znacznie bliżej, nieomal po sąsiedztwie do Beskidów, Babiej Góry i Górców. Wracam przez miasto — bazę wypadową w te góry, miasto, które najwięcej chyba ludzi dla tych gór zasłużonych wydało i laskawą jest siedzibą oraz przytułiskiem dla szeregu instytucji, ściśle z Podtatrzem związanym...

Na ulicy, za plecami prześmiewcze, głupie, ironiczne uwagi ludzi pozbawionych wyobraźni i świadomości niewielkiej. Lecz koniecznej...

Przed paroma dniami pokazowy reportaż w polskiej telewizji. Zenująca rewia obuwniczej mody na tatrzańskich szlakach. Według ustaleń, przyczyną pierwszorzędną tak wielu tego roku wypadków turystycznych w Tatrach był brak troski o właściwy górski ekwipunek...

Jakże boleśnie nielka jest jeszcze — w dwadzieścia lat po pierwszych naszych osiągnięciach w demokratyzacji tatrzańskiej turystyki — wiedza przeciętnego Polaka o tym, czym mogą

być góry, gdy wkroczy w nie nie przygotowany, nieswiadomy człowiek, o tym, jakie w nich obowiązują normy i zwyczaje...

Zapewne niedługo przeczytamy w prasie optymistyczną informację o owych pięciu czy siedmiu milionach „turystów”, którzy lato — od deszczowego lipca po słoneczny wrzesień — „odwiedzili Tatry”, fabrycznym autobusem i własnym autem, z siatką na zakupy, wadą serca i w modnych chodakach, podnosząc znów zeszlóroczny wskaźnik frekwencji, bijąc do granic, zdawałoby się, wysrubowany rekord.

Aż czasem bierze ochota, by tych „specjalistów od turystyki mas”, pierwszych choć ukrytych w cieniu sprawców bezmyślnego niwelowania Tatr, w pumpy, w skarpety pod kolana ubrać — i na spacer zakupiańskimi Krupówkami poprowadzić. Ku uciesze hołubionych tabunów.

Jeśli u bram sportowych stadionów, już bez żenady — pijanym kibicom zza pazuchy wyciągamy butelki, to dlaczego nie możemy tego robić tam przed hulaśliwym wjazdem nietrzeźwych „niedzielnych turystów” z „wesołych autobusów” w najeżystsze zakątki naszego kraju?

W tej samej trosce — gdy idzie o coś więcej...

A może — tymczasem — wystarczyłaby perswazja?

Bo przecież nawet powołana niedawno, a dobrze znana ze słyszania, milicja górską — najsurowszym choćby mandatem nie zlikwiduje wciąż nowych nieporozumień i grzechów, jakie płyną i płynąć będą ze zbyt pośpiesznej — w stosunku do wolno rosnącej łódzkiej świadomości — polityki „odcrywania” najszerzym kręgom społeczeństwa piękna i jedynego w Polsce wysokogórskiego dystrona.

NIEDALEKO OD JABŁONI...

Dalszy ciąg ze str. 1

... lat trzydziestu z dokładnym będzie jak stary Julian Gajewski tu nastąpił, co by się działo i rachunków i ułamek dzieciaki uczyć, a przede wszystkim syn tego Bogdan po ołcu berło wziął, i córka Irena i synowa Alicja wszystkie nauczycielki — tu w orszewickiej szkole zasiadziały, a dziś — któreś to pokolenie na ludzi wyprawiają, skoro już dzieci pierwszych uczniów Bogdana w świat, z orszewicką cenzurką noszą wnuków tylko natrzeć, a Julian Gajewski, choć mu niedawno osiemdziesiątka stuknęła, w razie potrzeby przypomni — jak to ich dziadkowie w tej samej szkole broili...

Dawno to było — stąd i pora najlepsza cofnąć się wstecz — niechby i pół wieku, bo od roku 1914 zacząć trzeba nauczycielski żywioł pana Juliana. Wówczas to bowiem 20-letni Julek w ziemi łęczyckiej, w wsi Załęże urodzony — nie z żalem lecz młotem planów i marzeń — objął posadę w szkole w Grabowie — wprzód oczywiście seminarium nauczycielskie w Łęczycy chlubnie ukończywszy. Po cóż mu było akurat nauczycielstwo do szczęścia potrzebne? Nie wiem — więc pytam — i patrząc na pana Juliana, któremu siwy włos energii nie odjął, widząc jak z nagła z krzesła wstaje i okulary nerwowo poprawia, czuję, że gdybym był młodszy — ani chyba dostalbym w ucho za głupie pytanie.

— No bo jakże to nie wiedzieć — proszę pana — toż to piękny zawód, a dobry nauczyciel to na wsi nie tylko człowiek co dzieci „Ala ma Asa” i dwa a dwa — cztery uczy, to także... Eh, co tam — sapie i argument wyciąga najważniejszy: — Zamilowanie do tego zawodu miałem — rozumie pan — zamilowanie — ot co... I powiedziałem sobie, że swoje dzieci też na nauczycieli wykiuruję.

— No i sprawdzilo się — mówię — ale to może tylko ktoś wam tak zyczył?

— Jak to — zyczył? Węc przypominam nieśmiało, to najsmutniejsze z polskich porzekadeł, wyciągane z zanadru — na wrógów i rzucane jak kamień: „A żebyś tak cudze dzieci uczył...”

— Głupi ludzie tak mówią — powiada wolno bez irytacji pan Julian i — pół do siebie pół do mnie — dodaje: — Ale to nie na pogardzie i lekceważeniu nauczyciela wyrosło — słyszy pan? To nie tak. To trzeba rozumieć inaczej — zobaczyć w tym to co i ludzi przede wszystkim widzieć — ciężki, czasem i najcięższy kawałek chleba... Bo było tak często i nie każdy powie, że zupełnie mnięło. A że ktoś tam tym chlebem pokarać kogoś chciał i za najgorszą kłajwę brał — jego sprawa. Mnie zaś to żadna kara czy zły urok, ale nagroda, bo ja wiem, że pracowałem ciężko, że tyle dzieci wychowałem na ludzi, że wielu z nich bez niczyjego przekleństwa ten sam nauczycielski ciężar śmiało wzięło na plecy, pokoczyło szkoły, uniwersytety — „panie magistrze, panie inżynierze” — do nich mówią, a ja wiem, że wyszli także spod mojej ręki, że tu w tych ścianach wszystko się dla nich zaczęło, i że wielu o tym pamięta...

1.

Dla nauczyciela Juliana Gajewskiego przymiarka powołania do nauczycielskiej rzeczywistości zaczęła się w Grabowie, ale po czterech latach (dość żeby się przyzwyczaić do szkoły i do dzieci — urzędowy nakaz przeniósł go do gminy Witonin, potem do Borowa — aż wreszcie znajduje przystań we wsi Leźnica Mała. To tutaj przez następnych lat siedemnaście kieruje szkołą — najpierw jedno — potem dwu, trzy i pięcioklasową. Tu znajduje towarzyszkę życia, tu rodzą się kolejne dzieci: Irena — dziś ceniona pracownica Biblioteki Pedagogicznej w Łęczycy, Zdzisław — też nauczyciel z wykształcenia — upewnia mnie spieszenie pan Julian, — tyle że w mieście Łodzi zagral miesiąc i tam mieszka; oraz ostatni — najmłodszy, obecny dyrektor szkoły — Bogdan.

Siedemnaście lat — kawał czasu i nie trzeba długich domysłów, by odgadnąć, że zgodnie z panajulianowym rozumieniem nauczycielskich obowiązków — nie tylko na kierownika szkolną strawione zostały.

— Radnym gminy byłem, założylem młeczarnię, piekarnię, sklep spółdzielczy — wylicza wolno, skrupulatnie pan Julian, bez cienia zachwytu nad własnym społecznym zacięciem, ale z gospodarską dokładnością. Wszystko to zostało przecież zrobione — czemu więc nie uwzględnić w przychówku tej dobrej roboty? A przecież i tak należałoby jeszcze dopisać, że w niejednej łęczyckiej wsi kółka „Wici” z jego — Gajewskiego Juliana — powstały zachodu... Co mu w końcu i tak odpowiedni ludzie zauważyli i gdzie trzeba zapisali, bo kie-

dy przyszedł rok 1937 usłyszał: „Ja bardzo się pan polityką zajmuje, panie Gajewski — „Wici” pan nam tu zakłada, chłopów buntuje... I poniekać ciupasem znalazł się, wraz z całą rodziną, po drugiej stronie Łęczycy — w Orszewicach...”

Szkola dopiero tu powstawała — budowana wysiłkiem miejscowego społeczeństwa — „państwo nic nie subsydiowało” — zapewnia pan Julian — a 6 sierpnia 1938 roku otrzymała imię Tadeusza Kościuszki. Imię zostało przy niej do dziś, tyle że w rok od tego chrztu świat się nagłe zawalił.

Pierwszego września wiedzieli już, że wojna — tylko nie to, że tam na południu, w przygranicznym Wietniu pierwsze, niemieckie bomby zdały już rozetrwać na strzepy miełki szpital, że matki z porodówki oszalały z lęku, uciekały — dzieci pozostawiały — na drogę i pola były dalej od tego huk i ognia... Nie myśleli nawet, że... ale kotłoby przecież bombardował szkołę? Stała na nie-



Zdjęcia Włodzimierz Parys

wielkim wzniesieniu, odsłoniła, znaczna czerwień cegły — i w parę dni później siedemnastoletnia Irena, z matką i dwoma małymi braćmi, leżąc na podłodze tuż nad szorstkimi desek za każdym wybuchem bomb. Obie z matką dały w sobie krzyk i szczytnie ciele długie sekundy przetrwały, wleciąc się do głąb czeskiej gwiazdy, po którym ziemia leżała i dygotała gwałtownie, jakby brała na siebie część ich strachu... Przeżyli wszyscy, a poza drobnymi zniszczeniami ocalała także szkoła. Jednak trzeba było uciekać — i to szybko. Pogłoski, którym niebezpiecznie było nie wierzyć mówili, że Niemcy szukają takich jak Gajewski... Uciekali więc do Witonin. Tu nauczyciel Gajewski zmienił się w robotnika magazynowego, a córka Irena poszła pracować do Łęczycy.

Pod koniec wojny Irenę, Zdzisława i ojca wywieziono w okolice Plocka, a potem Oporowa — „na okopy”. Front był coraz bliżej, niemiecka machina okupacyjna w jednym miejscu pękła, ale w drugim — ze szczególną siłą — krepowała kolejąstym druhem ręce, gipsowała usta swoich masowo rozstrzelanych ofiar. Można było umrzeć każdego dnia — choćby i tu w Łęczycy, w biały dzień, na chodniku „nur für Deutsche” — za zbyt późne zejście sprzed oczu „kiesego żołdaka...”

Ewakuowani na zachód pod Berlin, w przyfrontowym zamęciu Irena i Zdzisław zdolali uciec. Na jakimś wzwie, bocznymi drogami dotarli do Witonin, ale już tu — niemal u progu domu — niewiele brakowało do tragicznego końca. Irena pamięta do dziś dnia tę chwilę, wrzask napotkanego patrolu rekwirującego wóz, dopytywanie lufy karabinu na skroni, a potem laskawy gest ręki żandarma: „zjeżdżaj i ciesz się, że żyjesz...”

Cieszyła się, jakże by nie, skoro mimo wszystko ocalała z tej zawieruchy, bo i ojciec dotarł jakoś szczęśliwie do Witonin. Cieszyli się, choć walki jeszcze trwały, aż wreszcie front przetożył się dalej i mogli wrócić z powrotem do Orszewic. Zastali szkołę zdewastowaną, ale pod dachem. Trzeba było jednak zwinąć rękawy, żeby wysprzątać, zeszkobać, usunąć jakoś „ten poniemiecki brud i smród”. Niemcy — uciekając w panice — zdążyli jednak porząbić i rzucić na stos w ogrodzie ławki, polamać i wdeptać w ziemię nieliczne ocalałe przyrzady i pomoce naukowe, spalić resztę książek z dość licznej biblioteki.

Pan Julian w tamtym okresie żył tak jakby mu energii z każdym kłopotem przybywało, biegał, zatapiał, organizował — sam jeden uczył 180 dzieci, z których jedne miały jeszcze mleko pod nosem, a inne znów — wasy.

— Garneli się do nauki jak nigdy później żadne następne roczniki — powiada pan Julian.

Do dwóch, trzech miesięcy zjechała do Orszewic pani Majewska — nauczycielka z Warszawy z córką. Był więc czas na głębszy oddech. Po-

tem wrócili także inni nauczyciele, którzy uczyli tu przed wojną i tak powoli powstawała w Orszewicach sześcioklasowa, a potem siedmioklasowa szkoła podstawowa.

Irena i Zdzisław chodzili w tym czasie do Liceum Pedagogicznego w Łęczycy, bo „ojciec gonił do nauki, tłumaczył, że Polsce nauczycieli potrzeba, że na wsi Polska na nich stoi, a nauczyciel to pionier, co się ma za najtrudniejsze braci, naród oświecać — i przypominał to wszystko co tam — w Leźnicy — przy budowie szkoły dla wsi dobrego zrobili: tę spółdzielnię i Dom Ludowy i tyle innych rzeczy, jak już ludzie zrozumieli o co sprawa idzie...”

— Uczylam się więc w myśl fatowej rady — mówi pani Irena — sama też coraz bardziej czując, że coś przecież robić trzeba, jakoś zarabiać na chleb, a nauczyciel szukano wszędzie. Tyle że łatwo z nauka nie było. Podręczniki, specjalne programy — to wszystko przyszło



Zdjęcia Włodzimierz Parys

potem. Wtedy, zimą z czterdziestego piątego na szósty, siedzieli się w nie opalanej klasie w paltaach, czekając zębami z zimna i słuchali z zapartym tehem wszystkie co nauczyciele mieli do powiedzenia. Żyła zresztą po dziś dzień wykładowa z tamtych lat — jak chociażby pani Grodzka, czy pani Zofia Wojteczak — i też może nas, swoich pierwszych wojennych uczniów wspominała... Byliśmy zbierani ludź w różnym wieku, w niektórych klasach uczyli się małżonka, pamiętam nawet jednego słuchacza czterdziestolatka.

W maju 1946 roku przyszła wreszcie ta pierwsza, no wyzwoleni matura... Zdałam i otrzymałam nominację wydziału oświaty na nauczycielkę w szkole w... Orszewicach. Przyszło mi więc startować w zawodzie pod ojcowską reka. Nie był to ani łatwy start, ani lekka reka — nie przesadź. Olecie wymagał ode mnie więcej niż od innych — nie żeby ktoś nie pomieszał, iż córka na łatwy chleb przywołał, ale „żebyś była nauczycielką jak się patrzy — mówi — i szkole wstępu nie przyniosła”. Uczylam wówczas różnych przedmiotów: polskiego, geografii, gimnastyki, a koleżanki — nauczycielki współczuły mi nieraz po ojcowskich kontrolach i surowych ocenach. Tyle że moim celem (iść do mamy chwilać sobie w kacie i wrócić znów do swoich dzieci).

Ojciec zresztą też nie próżnował, uczył, kierował szkołą, pomagał jak mógł w założeniu kółka rolniczego i GS, pełnił funkcje ławnika sądu nowostawo i radnego gminy. Tę, Sama nie wiem jak znajdował na to wszystko czas i siły...

W 1950 roku do szkoły w Orszewi-



Fot. Włodzimierz Parys

cach przyszedł uczyć najmłodszy Gajewski — Bogdan — też przez ojca bakyciem nauczycielstwa zarazony.

— Jeszcze była wtedy w klasach ta przetrwała, powojenna młodzież, a ja — niewiele starszy od osiemnastolatków z siódmej klasy — miałem być ich wychowawcą... Ale jakoś dawałem sobie radę, starałem się nie podpaść ojcu i wytrwać

w zawodzie choć wiadomo, że nie było to w tym fachu łatwe lata. Uczylam fizyki, chemii i innych przedmiotów, ale nauczycieli ciągle brakowało. Uczyło się przy tym nie tylko dzieci ale i tych co w sile wieku będąc ledwie się krzyżykami podpisać umieli. Pamiętam jak raz jeden z gospodarzy podniósł głowę nad zeszytu i błagalnym głosem wysapał: „Panie nauczycielu — ja to już wole na całą morgę gnoju rozrzeć niż jedną literę napisać...” Ale pisał w poście czoła i wysiłku straszny — bo jakże to — wszystkie gospodarze piśmienną będą, tylko on jeden nie? Wiece ołowek aż trzeszczał...

W 1951 roku pan kierownik Gajewski namówił na podjęcie pracy w szkole młodzież, dziewiętnastoletnią absolwentkę Liceum Administracyjno-Handlowego w Łęczycy — pannę Alicję Dąbrowicz, dziewczynę bystrą i pojętą — rodem z pobliskiej Góry św. Małgorzaty Święto upejznaną nauczycielką zabrała się z zapalem do uczenia orszewickich dzieciaków geografii, historii, nauki o Polsce i świecie współczesnym, uzupełniając przy tym swoje pedagogiczne wykształcenie na specjalnym kursie w Zgierz, zaś pan Julian rad z nowego kadrowego nabytku nie bardzo wiedział, że oto przywoził sobie synową.

— Zastaliśmy wtedy w Orszewicach bardzo młode, młode grono nauczycielskie — przypomina chętnie pani Alicja — Na i huk roboty. Dedykując się na przyszłość tutaj nie bardzo wiedziałam na co się porwać, ale ambicję swoją miałam i jak się dowiedziałam „Złoda” — trzeba było dojeżdżać przez cztery lata z Góry św.



Zdjęcia Włodzimierz Parys

Malgorzaty do Orszewic — kilometrów prawie pięć — chociaż u siebie miałam szanse na nieślą posadę i czasem coś mnie korekło... Tu w Orszewicach zyla się jednak ze szkołą, z dziećmi z nauczycielami...

A szczególnie z jednym. Toteż w roku 1956 pani Alicja wyszła za mąż za „Bogdana”, zaś pan Julian — zaczął pewnie ręce widać — że nauczycielka i synowa Gajewska słuchać go teraz będzie jeszcze pilniej niż panna Dąbrowicz.

4.

Biegły lata — nie zawsze łatwe i nie zawsze odciążające za wysiłek dorobkiem szkolnym i własnym takim jakby się po wkładzie trudu i serca spodziewać należało. Tyle że wiazali się — Alicja i Bogdan — z nauczycielstwem i ze swoją szkołą, coraz bardziej — czując jednocześnie, że na tym co umięją dużej poprzestać nie sposób. Pierwszy decyduje się Bogdan wybierając Studium Nauczycielskie w Łowiczu — wydział zaoiczny dla pracujących — ze specjalnością zajęcia techniczne. Zaraz potem, w 1965 r. — Alicja idzie na SN do Piotrkowa — kierunek geografia i wychowanie fizyczne.



Fot. Włodzimierz Parys

Wzmocnili fundamenty w samą porę, bo oto wkrótce nadchodził reforma — powszechna ośmiolatka — reorganizacja, nowe programy — przybywa roboty i tylko jeden nauczyciel. Pan Julian uczy jeszcze rosyjskiego, matematyki, biologii, ale siły już nie te, choć do spółki z synem kółko rol-

nicze założyli i za społeczną robotą ciągle się ogląda. W końcu jednak — z niechęcią i oporami — w roku 1966 zgodził się przejść na emeryturę i oddać rządy w szkole Bogdanowi. Z tym jednak warunkiem, że na pół etatu jeszcze trochę popracuje. To „trochę” rozrosło się do sześciu lat i trwało do roku 1972, kiedy to pan Julian ostatecznie rozstał się z nauczycielstwem. Tyle że — tak naprawdę — to jak mógł się rozstać, kiedy przy szkole, mieszka, na wszystko oko ma i jak trzeba to syna ostro strzeże, choć władze oświatowe świadkiem, że nie bardzo ma za co. Wrómy jednak do roku 1966, kiedy to po zmianie na ośmiolatkę szkoła w Orszewicach zrobiła się za ciasna. Z jednego pokoju mieszkalnego zrobili więc Gajewscy kancelarię, z korytarza — pokój nauczycielski, wygospodarowano pomieszczenie na szatnię, urządzono pracownię zajęć technicznych, a wszystko to — rzecz jasna — najłatwiej się pisze...

Ten sześćdziesiąty szósty rok był dla orszewickiej szkoły rokiem naprawdę przełomowym — wiazujący chociażby fakt, że dotarło do niej elektryczne światło. Nareszcie można było odstawić do lamusa stare, nalfotowe lampy. A potem następne wydarzenia sezonu i „bomba” dla całej wsi — telewizor! Ofiarowany w prezencie szkole przez Kuratorium — stanął w największej klasie, a wszyscy przychodzili go oglądać bez względu na to czy był akurat program czy też nie. Szkoła musiała być otwarta praktycznie przez cały dzień, do późnego wieczora. Nic w tym dziwnego, pamiętając, że był to pierwszy telewizor w Orszewicach, ale wkrótce pan Bogdan padł na nos ze zmęczenia w czasie wielogodzinnych dyżurów — jako odpowiedzialny za obsługę: strojenie, włączanie i wyłączanie odbiornika.

Potem zjawili się w szkole adapter, radio i nowa frajda — magnetofon. Kupiono też za sporą sumę pomocy naukowych do geografii, fizyki, chemii. Rok po roku — bez urlopow, wczasów, zwolnień — trzeba było to i owo remontować, przebudowywać, poprawiać, dopilnowywać fachowców, a czasem samemu brać się za łopate...

— Chociaż nie, nie tylko samemu — że powiedziałem — poprawiali się zaraz pan Bogdan — Pracowali nad tą szkołą i pracują nadal po ówmi wszyscy nauczyciele. I choć to „babinec” bo pięćmioma nauczycielkami obecnie rządzą — żony nie wyłączając — można na wszystkich i zawsze polegać. Jest także ojciec, który żadnej okazji przy pracy dla szkoły nie przepuścił. „Mnie — powiada — co Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski noszę i Złotą Odznakę ZNP posiadam — do karta przecie nie posiadasz — niedeżakanie twoje, a Honorową Odznakę Województwa Łódzkiego masz? Widzisz? — Wiece się ze starym ojcem nie spieraj i gadać co mam robić...”

Jakś czas temu jak potrzeba było naglego zastępstwa i zajęła się dziećmi — Bogdan zwrócił się do ojca: „może by tato posiedział z nimi godzinke...?”

— Och, mówię wam — opowiadała później z przejęciem dziećmi babcia Gajewska — jak on się cieszył, jak szawował niby osiemnastoletni młodzian, a z jaką radością szedł na tę lekciejce...

5.

Teraz po szkole oprowadzają mnie oba pokolenia nauczycieli Gajewskich. Anim ja figura jaka ważna, ani przyjaźni swego nie zapowiadalem, a szkoła aż bliższy czystością, podłogi wyszorowane i wypastowane — to iście przedświąteczna pieczołowitość! A wszystko to nie może być jednorazowym wyjątkiem, skoro i inspektorzy wydziału oświaty ów ład i porządek tudzież wiele zasługujących na pochwałę rzeczy — raz po raz w swoich raportach z orszewickiej szkoły — odnotowują.

Nie należy ta szkoła do placówek najładniejszych i najlepiej wyposażonych w powiecie. W przyszłości — w związku z reformą systemu oświaty będą tu tylko klasy I—IV, a starsze dzieci pójdą do szkoły gminnej na Górze św. Małgorzaty. Przydałoby się także z pewnością więcej grosza na pomoce naukowe i remont, no i nowe ławki — bo obecne już dawno zakończyły swoją szkolną służbę. Rzecz najważniejsza orszewicka szkoła już ma — ludzi. Sprawdzone — jak pan Julian przez ponad 57 lat pracy zawodowej, przez ćwierćwiecze wysiłków pedagogicznych jego syna, przez to, że przetrwali najtrudniejsze lata, kiedy słowo nauczyciel brzmiało dumnie, ale także biednie i trzeba było prawdziwego powołania, aby powiedział sobie: — Ja tam zostanę w szkolnictwie na zawsze...

6.

— Chwileczkę, przypominałem sobie, przypomniałem! — zatrzymuje mnie już w progu pan Julian.

— Coś takiego? — No, tu moich uczniów zostało nauczycielami. Ojciec — 491 — słyszy pan? — czterdziestu dziewięciu! A jak dobrze pójdzie to będzie i pięćdziesiąty, bo mój wnuk Włodzimierz, ten co to jest teraz w trzeciej licealnej w Łęczycy, mówi, że też pójdzie na nauczyciela. Kierunek już sobie nawet wybrał — wychowanie fizyczne!

— Piękna kolej rzeczy powiedziałam — ojciec — syn i wnuczek — nauczyciele... — A no właśnie — triumfuje pan Julian. — A wie pan już teraz dlaczego? — Wiem, proste — pana. To jasna, jak słońce. Niedaleko pada jabłko od jabłoni...

Już przeszło sześćdziesiąt lat działalności legitymuje się Literacki Klub Nauczycieli przy wojewódzkiej filii Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łodzi. Klub ten zrzesza nauczycieli z terenu województwa parających się prozą, poezją, krytyką i małymi formami scenicznymi. Różnie toczyły się w minionym okresie losy tej grupy, ale kilkuletnia próba zdołała wytworzyć sympatyczną więź między jej członkami i dziś już można powiedzieć, że jest to zespół bardzo koleżeńki, oddany tak sprawnie tworzenia, jak i bezinteresownego upowszechniania literatury współczesnej w środowisku nauczycielskim. Ta strona działalności zasługuje na szczególne podkreślenie, gdyż na ogół rzadko przejawia się w życiu innych grup artystycznych. Niemal rolę odgrywa tu wykonywany zawód, którego programowa etyka doskonale się sprawdza w codziennej pracy nauczycieli piszących.

Wszyscy członkowie Klubu mają już za sobą debiut prasowy, a kilku z nich posiada w dorobku pozycje książkowe. Warunki ich życia codziennego z pewnością nie należą do najłatwiejszych. Mieszkając w najróżniejszych częściach województwa skazani są na odosobnienie, które — biorąc pod uwagę młody wiek twórców — nie służy zanadto rozwojowi intelektualnemu. Ich aktywność jako ludzi pióra świadczy, że są już zahartowani eremicką prowincją, że doskonale łączą w sobie temperament twórcy ze społecznikowską pasją. Wielu z nich wszakże czynnie prowadzi działalność kulturalno-oświatową we własnym środowisku. Przewodzą więc teatry poezji, organizują spotkania literackie, zajmują się publicystyką terenową itp. Spotykają się najczęściej w Łodzi w lokalu Związku, gdzie odbywają zebrania warsztatowe (dyskusje nad własnymi tekstami), zapraszają twórców z łódzkiego środowiska, organizują tematyczne sympozja. Szczególnie życzliwy stosunek miejscowych władz Związku do pracy twórców sprzyja harmonijnemu ich rozwojowi.

Poniżej prezentujemy teksty kilku członków Klubu.

Z. S.

Rafał Orlewski

POŻEGNANIE Z LATEM

(sobie na urodziny)

że o jesieni nie trzeba odwagi,
temu kto jesień powitał u progu
w jego domostwie słońce matowieje
jako hartowane ostygnięte żelazo

że o dniu krótszym i chłodniejszych nocach —
wstyd tu przeżytkiem albowiem on widzi
te dni najkrótsze gdy się zapowiada
noc nieskończona bez światła wśród cieni

że jeszcze gładzi dłonia wrzosowiska
czemu się dziwić — to przyzwyczajenie
kiedy tak drżąco pieścił włosy lata
zanim mu ręce drzeć poczęły z chłodu

wieć mu pozwólmy pożegnać się z latem
by mógł dojrzałe śpiewać o jesieni
a jeśli nawet pieśń będzie surowa
to nie bez celu pójdzie w swoją zimę

Feliks Rajczak

WETERANI OPUSZCZAJĄ ŁÓDŹ

— Opuszczamy cię Łodzi. — I na wzdymy dymu
schodzą ostrożnie: czy grunt pewny pod stopami
Dookoła są mury A z każdego domu
powiewają rąk flagi biją brawa bramy

Rozmijają się pasma krwi i ulice Słońce
wziera się w oczy Sadza na wargach przysiadła
I nikt nie lamentuje Nos o plakat otrze
kto plakał — że jak gwiazda 'wездеj barykada

Kamienie bruku grzecznie ułożone drzemają
z pół przyniesli w kieszeniach je wygnadcy ziemi
zawsze rosła po deszczu — po krwi dojrzewają

Weterani Przykryła je już nowa warstwa:
asfalt-beton Wnuk po niej limuzyną jedzie
w perspektywę pionową
Oni wchodzą w glinę

Teresa Lechowska

DYSKUSJE

wielu jest przeciw tobie Hamlecie

przeszyłeś żywot Poloniusza
opętałeś rozum jego córki
wysłałeś na tamten świat Rozenkranców

nie tłumacz
liczą się tylko fakty
w końcu Laertes Klaudiusz matka
wszyscy z twojej przyczyny

zamiast mordercy
siedmiu ludzi
z rozlazłej ręki
humanisty

ostatecznie
mord polityczny trafia się gęsto
od początku świata

ostatecznie
Dania dla Gildensternów
wcale nie jest więzieniem

ostatecznie (mój biedny Hamlecie)
żaden posłakowy proces
nie odda Klaudiusza pod sąd
są już łobą zmęczeni
bo nie mogą ci pomóc
więc są przeciw

Hamlecie
od wieków wodzisz na pokuszenie
mieczaków imieniem Atlasa

od wieków wytrzepujesz sumienia
choć już wytrzępane do cna

a poza tym panie panowie
od tych rzeczy trzeba mieć zdrowie
kto je dziś ma

Czesława Politańska

Pelnia płona
łaka w pokosach leży

Osułpiał omijaniem
z piaskiem plewą w oczach
porwiesz się na prawdę

W ogród
pędem płodu olśniony wejdziesz
nie pytać oddychać

Krew poniesiesz z przedsionka do komory dokąd

Zbigniew Adamski

TESTAMENT

Pragnąłem mieć
przyjaciela
Kafla lub Abła
obaj byli pierwszymi poetami
tak, że wszystko jedno
śmierć jednego z nich (wielec którego)
odebrała mi prawo wyboru
z zemsty
zamknąłem go
w klatce po kanarku
lecz gdy zostanie skazany
i potępiony
umrze z braku okruszyn
wierzę jednak
że podstawicie mu
swoją pierś karmiąc
wdzięczny Z. A.

"JEDNOSTKI UŚMIECHU"

Mimo iż leżnych mieliśmy w dalszej i
bliższej przeszłości fraszekopisów, mimo że
i dziś wielu ten gatunek uprawia — tylko
fraszka poetycka, w której ulotna impre-
sja liryczna spleta się z moralistyczną
sentencją, z refleksyjną myślą o naturze
świata lub człowieka warta jest lektury
i uwagi czytelnika.

Potwierdzenie tej tezy bez trudu znajdu-
jemy w szczupłym tomiku młodszego pu-
blisty Feliksa Rajczaka pt. „Jednostki u-
śmiechu”. Zdecydowana większość za-
mieszczonych w tomiku fraszek i aforyz-
mów to prezentacja wyraźnie określonej
postawy wobec świata, postawy zaangażo-
wanej, nacechowanej jednoznacznie oceną
ukazywanych zjawisk.

Gdy poeta mówi:

„Talent się rozwija
nawet w cieniu kija”

czytelnikowi nawet przez myśl nie przejdzie,
że można by w tym dwuwierszu od-
patrywać się jakiejś aprobaty „kija”, tak
samo jak nie ma nic wspólnego z apolo-
gią miernoty sens fraszki „Najdalej”:

„Najdalej dociera
Postać w kształcie zera”.

Są to raczej gorzkie refleksje na te-
mat losu człowieka, ulomności natury
ludzkiej, a więc tego, co życie utrudnia
i zaturba.

Zetknąwszy się ze zjawiskiem kłójącym
się z poczuciem moralnym człowieka, czy
zwykłym zdrowym rozsądkiem, poeta nie
gromi, nie wybuchając świętym oburzeniem,
lecz sztydzi, ironizuje, ośmiesza.

Jako teren swojej obserwacji satyrycz-
nej obiera często Rajczak rejon stosun-
ków międzyludzkich. Typowe to dla mo-
ralistów wszystkich czasów. Takie fraszki
jak „Zauważyciel”, „Prawo mechani-
ki”, „Nowe zjawisko”, „Szybsza” czy a-
foryzmy: „Ignoranci są wszechstronni”,
„Księga Natury zapisana jest pazurami”
mają na pewno wartość filozoficznych u-
ogólnień, Gorzkich, ale cennych dzięki
swemu bezpośredniemu charakterowi.

Są oczywiście refleksje nie zaprawione
tak gorzką ironią, zwłaszcza te, które
wpisane są w problematykę obyczajową
ludzi drugiej połowy XX w. jak np. „Bo-
hater naszych dróg”, „Gusta i usta”.

Bohaterowie tych fraszek ukazani są po-
 prostu z humorem jako okazy rodzaju
ludzkiego nadające się do panopticum, ale
ze społecznego punktu widzenia zdecydo-
wanie mniej groźne. Pasja moralizator-
ska poety w czasie ich ukazywania ulega
jak gdyby wyciszeniu. Odbija się to chy-
ba i na efektach czysto artystycznych
natury, nośność intelektualna tych fraszek
zdaje się być poniżej możliwości autora.

Wśród kilkudziesięciu fraszek i aforyz-
mów są zresztą i zdecydowanie słabe, wy-
raźnie wysłone jak np. „Od kmięcia do
farmera”, „Zagadka bytu”, „Niedocenio-
ny”. Odnosi się wrażenie, że autor jakby
na siłę próbuje tu skonstruować synta-
cję komiczną.

Na szczęście takich utworów jest w to-
miku Rajczaka niewiele. Między się w nich
jednak pewna przesłona i nauka na przy-
kład: gra słów i koncepty czysto humorysty-
czne czy pseudofilozoficzne wysnute z rze-
czywistości pomysłowej a nie z auten-
tycznych doświadczeń życiowych autora
nie stanowią dobrego materiału dla frasz-
kopisa — aforysty.

Natomiast historia i uwikłany w nią
człowiek, jego autentyczne doznania oso-
biste i doświadczenia społeczne sprawiają,
że fraszka zapada w pamięć, budzi skojar-
zenia, zmusza do zadumy i daje estetycz-
ne zadowolenie nawet wtedy, gdy jej wy-
mowa będzie pesymistyczna.

JAN MARSZALEK

FELIKS RAJCAK — „Jednostki uśmie-
chu”. Wydawnictwo Łódzkie 1974. Ilustra-
cje Marek Zioch.

20 LAT KLUBU NAUCZYCIELA

W listopadzie br. minie dwadzieścia lat jak Związek Nauczycielstwa Polskiego otrzymał we władanie okazały secesyjny budynek przy Piotrkowskiej 137. Był to w owym czasie gest ze strony władz miejskich wyjątkowo hojny, ale nauczyciele zasłużyli sobie na tę życzliwość. Już od kilku lat, mimo braku stałego, własnego kąta, działał chór, zespół recytatorski i 20-osobowy balet. Entuzjastami nie tylko korzystania z dóbr kultury, ale czynnego uprawiania sztuki, choćby przez małe „s”, borykali się wtedy z elementarnymi trudnościami — nie mieli nie tylko lokalu, ale i fachowego instruktora. Ale uparty zarząd ZNP pod prezesurą DYMITRA MONYCYA przebrał przez podstawowe trudności.

Dom Kultury Nauczyciela, bo tak go wtedy nazwano, powstał akurat w 50 rocznicę utworzenia Związku Nauczycielstwa Polskiego i był drugą tego typu placówką w kraju. Pierwszym dyrektorem został J. NOWACKI. Istniejące już zespoły otrzymały odpowiednie pomieszczenia, założono nowe sekcje: szachową, turystyczną i wędkarską. Odpowiednie warun-

ki znalazła tu biblioteka, uruchomiono czytelnik czasopism. Rozpoczęto organizowanie imprez, odczytów, spotkań autorskie, wyświetlano filmy, prowadzono dyskusje i spotykano się na wieczorkach towarzyskich.

Po dwóch latach kierownictwo DKN objął WITOLD CZERLICA, który pełnił swą funkcję aż do tragicznej śmierci w styczniu br. pozostawiając po sobie pamięć człowieka bez reszty oddanego pracy kulturalno-oświatowej, zasłużonego społecznika, odznaczonego Krzyżem Kawalerskim. Dzięki jego inicjatywom rozszerzył się znacznie zakres społecznych prac nauczycieli, ożywiła działalność sekcji czytelniczej, opieki nad ruchem amatorskim, organizacji imprez, wypożyczki po pracy, upowszechniania wiedzy, pracy na zewnątrz.

W pracach DKN brali udział przede wszystkim członkowie ZNP, ale również osoby przez nich wprowadzane i studenci szkół pedagogicznych, studium nauczycielskiego. Klub działał, zbierał laury. W jednej z łódzkich gazet ukazał się nawet w tym czasie (1957) artykuł określający

DKN jako „oazę na pustyni kulturalnej”.

Rok później DKN zmienił nazwę na Klub Nauczycielski, bardziej adekwatną do możliwości i charakteru pracy, ale jego zadania nie uległy uszczupleniu, wprost przeciwnie. Poszukiwano nowych form i metod pracy, atrakcyjnych tematów i wybitnych prelegentów.

Kierowniczym organem społecznym KN była Rada oraz szeroki aktyw młodych nauczycieli. Wysuwali oni nie tylko projekty programowe, ale pomagali w ich realizacji, legitymując się pomysłowością i oddaniem pracy społecznej. Doświadczenie kierownictwa KN i umiejętności prawidłowego programowania pracy, a w szczególności zachowania właściwych proporcji między tematyką „poważną” a „lekka”, spotkało się nie tylko z uznaniem bywałców czy współpracowników, lecz zakończyło się dużym wyróżnieniem w roku 1970. W ogólnopolskim współzawodnictwie pod hasłem: „Kluby Nauczycielskie ogniskami kultury socjalistycznej” — palma pierwszeństwa przypadła łódzkiemu Klubowi Nauczyciela, który wy-

kazał najszerszą działalność we wszystkich dziedzinach pracy kulturalno-oświatowej.

Bilansu 20-letniego działania nie można odtworzyć w krótkiej informacji, nawet leżby nie mówić wszystkiego. Zilustrujmy go chociaż niektórymi przykładami. Dumą KN może być bez wątpienia chór, składający się z 60 osób, który doczekał się nawet swej monografii (praca maeisterska S. Cichalewskiej w PWSM). Chór zdobył wiele wyróżnień, z których wymienię tylko „Laur 20-lecia”, koncertował w Czechosłowacji, Bułgarii, NRD. Dalej Klub Plastyków, zrzeszający 26 nauczycieli z miasta i województwa. Członkowie klubu prezentowali swe prace w większości województw w kraju, a także za granicą. Klub Literacki skupia 30 członków, z których wielu posiada na swoim koncie znaczny dorobek twórczy. Wymienić choćby trzeba jeszcze takie sekcje KN, jak: Estrada Literacka, Teatrzyk Lalek, Klub Filmowo-Fotograficzny, Dyskusyjny Klub Filmowy Nauczycieli „Sekwencja” (zrzeszający ok. 90 osób, najstarszy nauczycielski klub filmowy w kraju), duża sekcja PTT-K, zrzeszająca ponad 200 osób oraz sekcje sportowe: pływacka, tenisa stołowego, brydża sportowego, szachowa, gimnastyki pań. W sumie działalność KN obejmuje ponad siedemset osób w pięciu zespołach i dziewięciu grupach, a zakres prac

kluby odpowiada zakresowi domu kultury.

Sukcesy, odnoszone przez zespoły amatorskie KN na konkursach i festiwalach, stanowiły niewątpliwie satysfakcję moralną i zachętę do dalszej pracy dla kierownictwa i członków Klubu. Najważniejszą była jednak systematyczna praca dla środowiska nauczycielskiego, współpraca z innymi instytucjami i organizacjami, jak TPP-R, PTT-K, Łódzkim Towarzystwem Muzycznym, Związkiem Literatów Polskich, Klubem Dziennikarza, Młodzieżowym Pałacem, prasą łódzką.

KN uczestniczył aktywnie w przygotowaniu nauczycieli do czynnego udziału, współuczestnictwa w tworzeniu kultury, doskonaleniu własnych umiejętności artystycznych; ukazywał właściwe wzory społecznego działania. Z perspektywy dwudziestu lat można stwierdzić, iż ruch kulturalno-oświatowy ZNP rozwijał się systematycznie i koncentrował w Klubie Nauczycielskim. Dzięki temu KN można założyć śmiało do najbardziej preżnych i najlepiej zorganizowanych na terenie kraju, o czym świadczy wspomniane wcześniej wyróżnienia i nagrody. A sukcesy, jaką byśmy ich miarą nie mierzyli, są niewątpliwym osiągnięciem całego środowiska nauczycielskiego Łodzi.

Opracowano na podstawie informacji Tadeusza Brożyńskiego.

Czy teatr jest potrzebny robotnikom?

Kiedy w 1959 r. powstał projekt założenia stałego teatru w Zabrzu, w miejsce likwidowanego teatru objazdowego przy „Estradzie”, wybuchł spór wokół nowej sceny. Nikt nie kwestionował celowości jej uruchomienia, o nie! Chodziło o lokalizację.

Tradycje teatru polskiego są tu dawne. W 1901 r. odbył się w Zabrzu protestacyjny wiec robotniczy przeciw teatrowi niemieckiemu w Królewskiej Hucie (dziś: Chorzów). Niemieckie administracje kopalń i hut rozdawały robotnikom darmowe bilety do tego teatru, ale mieszkańcy Zabrze, przywiązani do polskości, nie chcieli uczęszczać na przedstawienia.

Jak podają kroniki, w 1902 r. bawiła w Teatrze Krakowskim wycieczka z Zabrze, w której skład wchodził amatorski zespół teatralny. Zespół ten odegrał na scenie przy placu Św. Ducha dwa spektakle: „Kulturnik” Karola Miarki i „10.000 marek” P. Kołodzieja. W 1913 r. z okazji Święta Piosenki Polskiej w Zabrzu prezentowały się także liczne zespoły teatru amatorskiego.

W gorących dniach plebiscytu na Górnym Śląsku działał w Zabrzu teatr plebiscytowy. W teatrze polskim Cegnicki debiutował tu jako aktor zawodowy młodzieńki wówczas Kazimierz Opaliński. Mimo intensywnej akcji germanizacyjnej w okresie międzywojennym działali na tym terenie liczne sekcje dramatyczne przy kółkach śpiewaczych i innych organizacjach polskich, nawet przy towarzysztwie pszczelarzy. M.in. Słowaczyni „Lutnia” wystawili operę Kurpińskiego „Zamek na Czersztynie”. Aktywność na tym polu wykazywała lewica. Wystawiano szereg widowisk o charakterze politycznym, jak „Wojna włosko-abisyńska”, czy „Śmierć Okrzei” (między innymi, zachowały się w pamięci ludzkiej tylko nazwy tych spektakli, ale mówią one same za siebie).

Do 1939 r. bywał w Zabrzu na gościnnych występach Teatr Śląski im. Wyspiańskiego z Katowic, ale częściej przyjeżdżał szowinistyczny Landestheater z Bytomia. Cóż kiedy na polskich przedstawieniach 950 miejsc w teatrze wypełnionych było do ostatniego, a jak skarżył się w raporcie do zwierzchnictwa prezydent policji teatr niemiecki był przez miejscową ludność bojkotowany.

Terror hitlerowski podczas II wojny światowej przerwał oczywiście wszelką działalność w tym zakresie, ale gdy po wyzwoleniu Zabrze połączyło się z Macierzą, stanowiło ono grunt przygotowany do przyjęcia i

kultywowania polskiego teatru. W pierwszych kilkunastu latach działał tu, jak wspominałem na wstępie teatr objazdowy, ale potrzebna własnej, stałej sceny była ewidentna.

Wybór padł na dawne kasyno znanej rodziny potentatów niemieckich na Śląsku — hrabiów Henckel von Donnersmarck. Po wojnie działał tu dom kultury Huty „Zabrze”. Dzięki świadomej postawie ówczesnych działaczy — dyrektora huty Pystora, sekretarza partii — Rudolfa Kistorza i przewodniczącego Prez. MRN Jerzego Knapika — gmach przy ul. Powstańców 14 przekazany został Państwowemu Teatrowi Nowemu — stałej scenie miasta Zabrze. Przez szesnaście lat teatr grał w bardzo trudnych warunkach, dopiero w 1963 r. przystąpiono do kapitalnego remontu. 27 września 1967 r. odbyła się inauguracja teatru po renowacji premierą „Krakowiaków i górali”.

Przed paru tygodniami Teatr Nowy w Zabrzu obchodził 15-lecie działalności, wystawiając śpiewogę Ernesta Brylla „Na szkle malowane”, z muzyką Katarzyny Gaertner, w reżyserii dyrektora i kierownika artystycznego sceny — Kazimierza Dąszewskiego. Stało się to okazją do zbilansowania osiągnięć teatru w tym wielkoprzemysłowym, w przeważającej mierze robotniczym środowisku. W ciągu 15 lat istnienia Teatr Nowy wystawił 102 sztuki, z czego więcej niż połowę stanowiły utwory dramatyczne polskiej. Ogółem dano ponad 4000 przedstawień, które obejrzało blisko 2 miliony widzów. W repertuarze przeważały utwory rozrywkowe, ale nie brak było i poważnych pozycji. Podstawowym kryterium wyboru sztuk było preferowanie koncepcji realistycznej.

15 lat funkcjonowania stałej sceny w Zabrzu dostarcza sporo materiału do przemyśleń na temat roli i miejsca teatru w modelu życia kulturalnego ośrodków wielkoprzemysłowych. Jubileusz Teatru Nowego stał się więc okazją dla sesji wyjazdowej Klubu Krytyki Teatralnej przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Badania sondażowe przeprowadzone u nas w kraju na niewielką skalę wykazują, że w środowisku robotniczym teatr stanowi jedną z ostatnich pozycji w zakresie zaspokajania potrzeb kulturalnych.

Z ankiet przeprowadzonych wśród młodzieży robotniczej uczęszającej wynika, że zaledwie 5,4 proc. badanych uczęszcza do teatru. Nieco lepiej, ale również niedobrze wygląda ta sprawa u młodych robotników, którzy już się nie uczą. Procent korzystających

z teatru wahał się u ankietowanych od 8,7 do 24 — w zależności od stopnia wykształcenia.

Był okres intensywnych akcji zbliżenia robotników do teatru, masowego nabywania biletów przez rady zakładowe, ale jak wykazywała praktyka akcje te miały charakter fasadowy, były pogonią za lepszymi wynikami statystyki, a nie rzetelną działalnością propagującą teatr. Z darmowych lub ulgowych biletów korzystała i korzysta w zakładach pracy przeważnie administracja i dyrekcja, rzadko robotnik z produkcji. Mimo niedostatecznego rozeznania można zaryzykować twierdzenie, że w teatrach polskich widz robotniczy stanowi w najlepszym razie około jednej czwartej widowni, co pozostaje w jaskrawej dysproporcji ze strukturą naszego społeczeństwa.

Może więc robotnicy nie potrzebują teatru? Może wystarczy im telewizja, z której usług korzysta ok. 70 proc. ankietowanych? O krok jesteśmy od lansowanej od czasu do czasu tezy, że teatr powinien pogodzić się z faktem, że jest sztuką elitarną, dla nielicznych wybranych, koneserów o wyższych potrzebach kulturalnych. Teza taka jest o tyle wygodna, że zwalnia upowszechniających kulturę od obowiązku walki o robotniczego widza. Pogodzić się z nią jednak nie można.

To prawda, że teatr nie może w masowości odbioru konkurować z telewizją i kinem. Prawda również, że wymaga on więcej od swoich bywalców, poczynając od sprawy stroju (choć tu swoboda panuje coraz większa), do czasu, do wcześniejszego zaplanowania czasu, a kończąc na większym skupieniu i wysiłku umysłowym. Ale zgódźmy się, że kontakt z żywym aktorem, uczestnictwo bezpośrednio w akcie twórczym, jakim jest co wieczór od nowa spektakl teatralny, dostarcza specyficznych wrażeń i wzruszeń, jakich nie jest w stanie dać kino ani telewizja.

Nie mówmy więc, że robotnicy nie potrzebują teatru. Przyznajmy się raczej, że wciąż zbyt mało robimy, by ich dla sztuki teatralnej pozyskać. Teatr Nowy w Zabrzu ma na tym polu pewne osiągnięcia. Mamy i my w Łodzi swoje doświadczenia, ale brak wciąż systematycznej pracy, która prowadziłaby do stopniowej poprawy sytuacji. Niezbędne wydaje się rozpoczęcie stałej, nie sporadycznej, bezpośredniej rozmowy z robotnikami. Teatr powinien dopuścić ich do partnerstwa, do udziału w kształtowaniu repertuaru.

W Jugosławii istnieje instytucja

robotniczych rad teatralnych, w których skład wchodzi delegaci wielkich zakładów pracy. W Związku Radzieckim organizuje się stałe spotkania widzów z dyrekcjami teatrów. Gdy Roger Planchon zakładał swój teatr na robotniczym przedmieściu Lyonu Villeurbanne, rozpoczął od ankiety, z której wynikało, że publiczność domaga się wystawienia „Trzech muskietierów” Dumasa. Kierując się tym, Planchon zrealizował znakomity spektakl, który zyskał sławę światową. W NRD działa jednolita organizacja widzów teatralnych „Volksbühne”, wydająca biuletyny z dokładnymi informacjami o sztukach granych przez teatr.

Może coś z tych doświadczeń warto zastosować u nas? Może szukać należy własnych form? Jedno pewne, że zerwać należy z biernością. Robotnicy nie wykorzystują w pełni

TEATR

przysługującego im prawa do dobrej rozrywki. Wbrew pozorom teatr potrzebny jest robotnikom, tak jak robotnicy potrzebni są teatrowi, który przeżywa u nas obecnie pewne skostnienie. Bez zmiany składu widowni teatr nie będzie się rozwijał. Już chyba jak truzim zabrzmi stwierdzenie, że teatr winien stać się dobrem społecznym.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



Fot. Bogdan Krasicki

SEZON SIĘ SKOŃCZYŁ, SEZON SIĘ ZACZYNA

Stary obyczaj zobowiązywał recenzentów do skrupulatnie wyważanych ocen odchodzącego w przeszłość sezonu, wartościowania, rozdzielania między teatry laurów i napomnień. Rytm teatralnego życia uległ wszelako pewnemu rozmazaniu, jedna scena gra jeszcze, inny zespół bawi już na urlopie, potem ten wraca, tamten wyjeżdża i tak aż po jesień, po nowy sezon, który zatrze w pamięci poprzedni.

Otwarcie sezonu odbywa się zresztą bez fanfar, wrzesień ma najczęściej pod znakiem wzniośleń, natomiast punkty szczytowe wyznaczane są przez przypadający w marcu Międzynarodowy Dzień Teatru i bliżej roku lecie odbywające się festiwale, które dają okazję do szerszej konfrontacji. Niejednokrotnie wszakże przychodzi

stosować nam miary. Gdy w trakcie sezonu zgadzamy się — acz bez zapali może — na spektakle choćby tylko poprawne, byle wielobarwne i różne, to po festiwalowe laury na nagrodę Srebrnej Łódki może już tylko sięgać spektakl prawdziwie znaczący, wykraczający poza znaną przeciętność. I nagle okazuje się, że nie tak wiele warto ocalać od zapomnienia.

Przypomnijmy: przyznawaną w Międzynarodowym Dniu Teatru nagrodę Srebrnej Łódki otrzymał spektakl Teatru Nowego „Kubus Fatałista” wg Diderota w adaptacji i reżyserii Witolda Zatorskiego. Jury wyróżniło jednocześnie przedstawienie „Czekając na Godota” Becketta w Teatrze Nowym (reżyseria Witolda Zatorskiego), oraz trzy spektakle Teatru im. Jaracza: „Bolszewików” Szatrowa,

„Przepis ze starej kroniki” Broszkiewicz (oba w reżyserii Jana Maciejowskiego) i „Szewców” Witkiewicza (reżyseria Jerzego Grzegorzewskiego). Aktorską nagrodę Srebrnego Pierścienia otrzymała Jadwiga Andrzejewska (Teatr Powszechny) za rolę tytułową w przedstawieniu „Matki Courage” Brechta.

Rola ta została nagrodzona raz jeszcze — na XIV Kaliskich Spotkaniach Teatralnych. Posypały się tam i dalsze nagrody, dla Marka Bargielowskiego i Jana Maciejowskiego („Hamlet”, rola tytułowa i reżyseria), oraz — jakże zasłużenie — dla Ryszarda Stogowskiego za bravurę w poprowadzonej rolę Lucky’ego w „Czekając na Godota”. Oba te przedstawienia są jednak o rok wcześniejsze i kronikarz zaliczy je na poczet sukcesów sezonu 1971/72.

Gorzej natomiast powiodło się Teatrowi im. Jaracza na XV Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu, gdzie „Przepis ze starej kroniki” nie tylko „nie zmieścił się w czółówce”, ale w ogóle został nader krytycznie oceniony. Niejako przy okazji periodyki kulturalne napomniwały raz i drugi prowincjonalnych recenzentów — oczywiście nie tylko

łódzkich — za stosowanie ulgowych kryteriów i nadawanie rozgłosu spektaklom nie najwyższego lotu... Cóż, jeżeli chodzi o „Przepis” nie mógłbym się zapewne zgodzić tak bez rezerwy, choć oczywiście wiele zależy od tego, z jakimi przedstawieniami został zestawiony. A konkurencja we Wrocławiu była ponoć wyjątkowo silna.

To była jednak tylko dygresja, której nie chciałbym przeciągać. Wracając do minionego sezonu: co jeszcze warto bodaj wspomnieć, co jeszcze pozostawiało trwałszy ślad w pamięci? Teatr Powszechny nie miał niestety istotniejszych osiągnięć na swojej głównej scenie, nawet polska prapremiera „Marii”. Babilia nie zakończyła się sukcesem. Uruchoił natomiast — a liczą się tu przede wszystkim ambicje — Scenę Kameralną, na której pokazał „Szachy” Grochowiaka i „Niecne sprawy” Vaillanda.

Mówiąc o Teatrze Nowym wypada przynajmniej wspomnieć doskonałą rolę Izabelli Pienkowskiej w „Wilkach w noc”. Rittnera oraz interesującą polską prapremierę „Procesu o Andersonville” Levitta, oprócz osiągnięć aktorów i aktorek, Andrzej Maya (oficjalny kontrkandydat do

nagrody Srebrnego Pierścienia) i Wojciecha Piłarskiego.

Ku schyłkowi sezonu dwa ważne, acz dyskusyjne przedstawienia dał Teatr im. Jaracza. „Popiół i diament” błyszczał przede wszystkim znakomitą robotą reżyserską Jana Maciejowskiego, był spektaklem dobrym, a niekiedy bardzo dobrym aktorsko, jednak adaptacja nie zdolała zacementować szczelnie i pęknięć powieści, przeciwnie — obnażyła je raczej. Jeszcze bardziej kontrowersyjna okazała się dokonana przez tegoż reżysera inscenizacja „Romea i Julia” Szekspira w nowym przekładzie Jerzego S. Sito. Hatałiwa i rozchukana, kontrastująca dwa pierwsze akty z następnymi, odkrywała trudno przezwyciężalne głębie jednych scen, aby bez reszty zagubić i przekrzyknąć inne... I tu zresztą można odnotować doskonałą rolę, choć nie wśród ról tytułowych — myślę oczywiście o Merkurju Ireneusza Kaszkiewicza.

I tyle — o scenach dramatycznych myśląc — byłoby ważniejszych osiągnięć minionego sezonu. A jeżeli mi przypomniał — najusilniej dopraszam się przebaczenia.

JERZY PANASEWICZ

NAJTRUDNIEJ BYĆ AKTOREM KOMEDIOWYM

„Nie znaczy to, aby wystawienie tej „ciotki” było rzeczą tak łatwą. Wymaga ono jednego czynnika, ale ważnego: ciotki, tzn. aktora mogącego zagrać tę niebezpieczną rolę”.

T. BOY-ZELEŃSKI

Tak właśnie pisał Boy po premierze farsy Brandona Thomasa „Ciotka Karola” w Teatrze Letnim w Warszawie w 1930 roku. Tym razem nawet nie interesowała go sama sztuka.

Zdawał sobie bowiem doskonałe sprawę z tego, że Brandon Thomas — aktor napisał tę farsę dla aktorów.

Nie bez powodu tedy wybrałem powyższe motto moich dzisiejszych rozważań o teatrze. Albowiem będzie to myślenie o aktorze, aktorze, który trudną i „niebezpieczną” rolę potrafił ujarzmić, podporządkować tworzyw, wreszcie, osadzić w jednej ściśle określonej konwencji. Krzysztof Różycki, bo o nim mowa, jako Lord Francourt Babberley i jako ciotka

swego przyjaciela Karola, w sposób swobodny przechodzi od postaci do postaci zachowując przy tym umiar i smak. Wyczuwa się tu porozumienie i wspólne założenia aktora i reżysera (Czesław Wollejkę), dbanie o czystość środków wyrazu, o kontrolowaną żywiołowość, potęgowaną reakcją rozbawionej widowni. Jakże tu łatwo o zły smak, o typowe „giery” pod „publiczkie”, o zaczerpnięcie się atmosferą „rozigranej” publiczności. Dla Lorda Babberley to niebezpieczeństwo urasta, kiedy zmuszony przez przyjaciół gra rolę starej damy. Krzysztof Różycki stosuje oszczędny gest, który w sposób niemal doskonały sygnalizuje zmiany nastroju, zmiany osobowości — wszystko w konwencji farsowej.

W tej samej tonacji poprowadzone są role jego przyjaciół, Jacka Chesneya i Karola Wykehama w wykonaniu Andrzeja Herdera i Stanisława Kwaśniaka. Zonglerka słowna, zdynamiczowany ruch sceniczny — wszystko

to podbudowuje główny wątek farsy B. Thomasa i jej głównego bohatera.

Jednocześnie szkoda, że pozostałe postaci nie były rozegrane w podobny sposób, chociaż pozostawały w tej samej konwencji. Kazimierz Iwiński, Eugeniusz Walaszek, Bohdan Wróblewski, Barbara Marszałek i Alicja Krawczyńska posłużyły się stereotypami z cyklu „nasze wyobrażenia o humorze angielskim”. A więc stereotyp pulkownika, prawnika gbur, lokaja, zakochanych dziewcząt z dobrego domu („Jaka mamy dziś piękna pogoda”) itp. Natomiast Alina Kulikówna i Zofia Kopacz poprowadziły swoje role w zupełnie innej konwencji, kłiwko-komediowej, trochę z Wilde’a, zbyt mało z farsy. Może owe finałowe omdlenia Zofii Kopacz były próbą ratunku.

Winy, jeśli można mówić o winie, upatrywać należy w reżyserii, może poprowadzonej zbyt „kulturalnie” i z

odległości kilkunastu rządów widowni. Na pewnym kontrapunkcie komponowana została scena, bogate wnętrze, funkcjonalny plener z dużą wyrazistością utwypuklał dynamiczną farsowość, spętowaną kostiumem w kroju i kolorze komponującym się ze stylem głównych aranżerów spektaklu.

Moje rozmyślenia zatytułowałem „Najtrudniej być aktorem komediowym”. Jeżeli ktoś ma wątpliwości może to sprawdzić w Teatrze 7.15 na przedstawieniu farsy Brandona Thomasa „Ciotka Karola”.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Brandon Thomas „Ciotka Karola”, przekład: Cecylia Wollewdowa, reżyseria: Czesław Wollejkę scenografia: Elżbieta Iwona Dietrych, Teatr 7.15, premiera dnia 27 września 1974 r.

REUTER — Londyn

Prezydent Maria E. M. de Peron zwołała w trybie nagłym konferencję członków swego gabinetu, w której wzięli także udział przedstawiciele urzędów centralnych. Na konferencji omawiano sprawy położenia kresu aktom terrorystycznym. W wyniku działania terrorystów od 1 września br. w Argentynie straciło życie ponad 60 osób. Konferencja, na której byli także obecni: przewodniczący sądu najwyższego oraz przewodniczący obu izb parlamentu, wzbudza przypuszczenia, iż rząd zaproponuje wniesienie poprawek do kodeksu karnego w celu położenia kresu aktom przemocy i gwałtu. Na konferencji byli również obecni dowódcy trzech rodzajów sił zbrojnych. Obserwatorzy wyrażają opinie, że armii zleci się bardziej aktywne działania w walce z prawniczymi ekstremistami działającymi w miastach.

„UNSERE ZEIT“ — Düsseldorf

Po powrocie przewodniczącego Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, Helmuta Kohla, z Pekinu, gdzie prowadził on rozmowy z maoistowskimi liderami, prezydium Niemieckiej Partii Komunistycznej złożyło następujące oświadczenie: „Przewodniczący CDU, Kohl, podkreślił, występując przed kierownictwem CDU, że CDU-CSU i przywódcy maoistowskie „mogłyby dojść do porozumienia w podstawowych problemach politycznych”. Jak powiedział Kohl, w Pekinie „zgodowano mu niezwykle serdecznie”. Kohl, podkreślił Kohl, „jest zainteresowany w szybkiej (zachodnioeuropejskiej) integracji” i ma sceptyczny stosunek do Ogólnoeuropejskiej K. atencji w Sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy. Przewodniczący CDU odnotował „intensywność”, z jaką Pełn występował przeciwko Związkowi Radzieckiemu i NRD. Wszystko to jeszcze raz potwierdza, że agresywne kółka zachodnioeuropejskiego imperializmu są najbardziej zaciętych wrogiem mas pracujących oraz demokracji w RFN. Maoistowskie przywódce, po całkowitym zerwaniu z ideami Marksa, Engelsa i Lenina, prowadzą rozmowy z przewodniczącym CDU, zajmując pozycje antykomunistyczne i antyradzieckie. Jednocześnie się w wrogim stosunku do polityki utrwalenia pokoju, w próbach zahamowania procesu odzupienia, sabotażowania porozumień zawartych przez nasz kraj z państwami socjalistycznymi oraz zawrócenia Europy i całego świata do okresu „zimnej wojny”. Wypowiedzi i oświadczenia maoistowskich przywódców w Pekinie mają na celu pobudzenie najbardziej agresywnych kół zachodnioeuropejskiego imperializmu, wzmożenie ich tendencji antykomunistycznych i antyradzieckich, które w ostatecznym rachunku przyniosą szkodę interesom Republiki Federalnej i sprawie pokoju. Kohl i jego maoistowski partnerzy opowiedzieli się za zwiększeniem wysiłku zbrojnego, zapobiegawczych polityce NATO, skierowaną w pierwszym rzędzie przeciwko krajom socjalistycznym. Maoistowskie przywódce wykazywali „pełne zrozumienie” dla twardego kursu CDU-CSU, podkreślając zgodność swoich poglądów z punktem widzenia CDU we wszystkich ważnych problemach. Jawną współpracą prawniczych sił RFN z maoistami jest ostrzeżeniem dla wszystkich sił milijackich pokój i nakłaniania do aktywizacji walki o rozładowanie napięcia, o pokój i bezpieczeństwo narodów.

„LES NOUVELLES DE MOSCOU“ — Moskwa

Dokument, który ze skrótami publikujemy poniżej, zawiera wnioski Międzynarodowej Komisji do Badania Zbrodni Junty Wojskowej w Chile. Dokument został opracowany przez sekretariat Komisji podczas sesji w Sztokholmie.

Gwałcie konstytucyjnej junta wojskowa ogłosiła stan wyjątkowy i proklamowała fikcyjny „stan wojny domowej”. Oficjalne materiały, jak również oceny ekspertów mówią o około 30.000 obywateli chilijskich, skazanych na śmierć bez sądu i dochodzenia. Obozy na wyspie Dawson, gdzie od wielu miesięcy, w niehumanitarnych warunkach, więzi się przywódców Partii Jedności Narodowej rządu prezydenta Allende, są symbolem odwetu politycznego i okrucieństwa. Fakty świadczą, że liczba bezprawnych aresztowań nie zmniejsza się. Z oficjalnych danych wynika, że 10.838 osób zostało aresztowanych w drugiej połowie lipca 1974 roku, a 21.154 osoby od końca lipca do września br. W związku z tym stworzono nowe obozy koncentracyjne w Chacalluta, Santa Cruz Castro i Puerto Natales. Aresztowań dokonuje się bez przedstawienia oskarżeń i bez wskazania motywów. Tortury i inne okrucieństwa wobec więźniów, jak również przetrzymywanie ich w warunkach nie do wytrzymań, są stałym elementem reżimu stworzonego przez junty. Junta wojskowa w Chile bierze za to na siebie pełną odpowiedzialność za równo wobec narodu chilijskiego, jak i wobec wszystkich narodów świata.

„ETHIOPIAN HERALD“ — Addis Abeba

Pierwszym krokiem na drodze likwidacji feudalizmu powinna być nacjonalizacja majątków ziemskich arystokracji bez żadnej rekompensaty. Feudalizm jest społecznym pasożytem. Uleczenie Etiopii zależy od rewolucyjnej zmiany istniejącego systemu użytkowania ziemi. Reforma agrarna powinna być przeprowadzona natychmiast, w przeciwnym razie feudalizm znów podniesie głowę. Tymczasowy rząd wojskowy ma wszelkie warunki do przeprowadzenia tej reformy.

Na finansowym firmamencie zachodniej Europy pojawiły się wyraźne oznaki kryzysu lat trzydziestych. Ceny na giełdach zbliżają się do rekordowo niskiego poziomu. We Frankfurcie, jak podaje nowojorski „Time”, na największym walutowym rynku kontynentu operacje finansowe niemal zamarły. W Londynie, więc w samym centrum burzliwie rozwijającego się wielomiliardowego rynku eurodolarowego, widać wyraźnie spadek aktywności finansowej. W sferach bankowych Szwajcarii obserwuje się duży niepokój. W stolicach zachodniej Europy liczba transakcji bankowych zmniejsza się każdego dnia. Dominuje niepokój i podejrzliwość.

Wszystko to oznacza głęboki kryzys zaufania nie tylko wśród sfer handlowych i społeczeństwa, ale przede wszystkim w kółach bankowych. Zresztą wystąpił on już znacznie wcześniej w związku z gwałtownym wzrostem inflacji, rekordowymi stawkami procentowymi i podwyższeniem cen na naftę.

I tak powojenny boom w zachodniej Europie, pisze komentator ekonomiczny w nowojorskim „Business Week”, któremu towarzyszył szybki wzrost ekonomiczny, pełne zatrudnienie, umiarkowana inflacja i polityczna równowaga, dobiegł kresu. Tempo ekonomicznego wzrostu w większości krajów zachodnioeuropejskich gwałtownie s. dło, podczas gdy tempo inflacji rośnie. Wszędzie odczuwa się bezrobocie i prawie żaden kraj zachodni nie może się pochwalić trwałym rządem.

W Anglii tempo wzrostu inflacji osiągnęło 20 procent, we Francji — 19 proc. Rząd Hiszpanii ma nadzieję na utrzymanie tempa inflacji w przedziale roku w granicach 15—16 proc. Nawet w Szwajcarii, która przez długie lata była wzorem stabilizacji ekonomicznej, tempo inflacji osiągnęło oszałamiający poziom 10 proc.

Ekonomiczna sytuacja Anglii jest niezwykle ciężka, bowiem inflacja towarzyszy wzrostowi deficytu w bilansie płatniczym, który, być może, jeszcze w tym roku osiągnie sumę 10 miliardów dolarów. Aktywizuje to wystąpienia mas pracujących, co doprowadziło do upadku konserwatywnego rządu Edwarda Heatha i dojścia do władzy labourzystowskiego rządu Harolda Wilsona.

W obliczu jeszcze bardziej złożonych problemów staneli Włochy. Tempo inflacji sięga tutaj około 20 proc. Deficyt bilansu handlowego osiągnie w tym roku ponad 12 miliardów dolarów. Banki szwajcarskie prowadzą z Włochami ożywione operacje finansowe, bo Włosi wolą mieć osłabione szwajcarskie franki niż smiertelnie chore litry.

Kryzys ten nie wybuchł w Europie zachodniej nieoczekiwanie — snuje rozważania wspomniany już dziennik kół handlowych USA. Od dawna było wiadomo, że boom ekonomiczny mógł trwać tylko w ograniczonym okresie czasu. Inflacja będąca w znacznym stopniu konsekwencją eksportu dolarów do Europy, staje się coraz bardziej ostra. Sytuacja pogorszyła się w 1973 roku, kiedy koniunktura rozpoczęła się jednocześnie we ws. stich krajach zachodnioeuropejskich. To w nogło tempo inflacji, rządy zmieniały się jeden po drugim, a później wybuchła wojna na Bliskim Wschodzie i rozpełął się kryzys naftowy. W rezultacie pozostały tylko „achunki, które trzeba teraz płacić. W 1974 roku deficyt bilansu płatniczego krajów zachodnioeuropejskich osiągnie, mniej więcej, 20 mi-

liardów dolarów. Większa część tej sumy jest związana z wydatkami na naftę. Najcięższe brzemie dźwigają Anglia i Włochy. Francję oczekuje deficyt bilansu płatniczego w wymiarze 6 miliardów dolarów, a Danię, której potencjał ekonomiczny stanowi zaledwie 10 proc. francuskiego, grozi deficyt bilansu płatniczego w mierze blisko 2 miliardów dolarów. Komisja Wspólnego Rynku przypuszcza, iż objętość produkcji „dziewiątki” w 1974 roku wzrosnie zaledwie o 2,5 proc., w porównaniu z 5,5 proc. w 1973 roku.

Ogromne wydatki na naftę i gwałtowny wzrost inflacji zmniejszyły krajów zachodnich do podjęcia najbardziej drastycznych kroków deflacyjnych. Inne wyjście z kryzysu widzą ekonomści zachodni w ewentualności zwiększenia eksportu w celu zdobycia niezbędnych środków na opłacenie nafty. Ale ponieważ wszystkie kraje zachodniej Europy znajdują się w takiej samej sytuacji, trudno sobie wyobrazić dokąd mogłyby być skierowane te towary. Biorąc pod uwagę dodatnie saldo bilansu płatniczego RFN, naciska się ją z wszystkich stron, żeby zaczęła kupować duże ilości towarów innych krajów EWG. Ale RFN stawia twardy opór. Na Zachodzie uważa się Niemcy za-

choinnie za kluczowe państwo zachodnioeuropejskie. Posiadają one nie tylko najsilniejszą ekonomikę, ale także zatrudniają nadwyżkę siły roboczej z krajów południowej Europy. W zachodnich Niemczech pracuje dziś około 600.000 Włochów i jeszcze więcej Hiszpanów. W RFN i innych krajach zachodnich pracuje dziś blisko półtora miliona Hiszpanów. Jeżeli mechanizm zachodnioeuropejskiej ekonomiki nagle stanie i ci wszyscy robotnicy będą musieli wrócić do swoich krajów, we Włoszech i w Hiszpanii sytuacja, która i tak jest już bardzo poważna, stanie się wręcz rozpacziwa.

Także „japoński cud” stał się ofiarą kryzysu. Poziom inflacji w Japonii jest wyższy niż w jakimkolwiek innym przemysłowo rozwiniętym

tyczną sytuację, w jakiej się znalazły. Nawet gejze w handlowym centrum Tokio uskarżają się na spadek ekonomiczny — liczba ich klientów zmalała o dwie trzecie. Japońska ekonomika znajduje się niemal w stadium stagnacji.

Również Kanada, niezależnie od swoich bogactw naturalnych i tzw. „zdrowej” gospodarki, czuje się zagrożona. Odczuwa „pokojącą zaleźność od zagranicznego kapitału i kaprysów rynku światowego. Mimo pewnej izolacji od międzynarodowych problemów ekonomicznych, światowa inflacja dotknęła także i Kanadę, chociaż tempo jej wzrostu, 10,4 proc., jest stosunkowo niewielkie. Niemniej jej skutki dają się już odczuwać.

Inflacja jest najczarniejszą chmurą na horyzoncie latynoamerykańskim. Poważnym problemem politycznym jest podwyższenie cen na produkty spożywcze, ponieważ wzrost produkcji rolnej nie nadąża za wzrostem liczby ludności. A jeszcze groźniejszym problemem jest gwałtowny skok cen na naftę. Kilka państw latynoamerykańskich wydobywa znaczne ilości nafty, lecz większość krajów tego kontynentu musi płacić ogromne sumy za jej import. Jednakże inflacja nie jest jakimś nowym zjawiskiem dla Ameryki Łacińskiej, ekonomści są bardziej zaniepokoleni trudnościami, jakie przeżywa USA, Europa i Japonia. Obawiają się, iż przedłużająca się „stagflacja” — spadek produkcji w warunkach inflacji — grozi obniżeniem popytu na towary latynoamerykańskie, zmniejszeniem przywozu kapitałów i, co za tym idzie, wzrostem zadłużenia w imporcie.

Podwyższenie cen na importowaną naftę spowodowało gwałtowny wzrost inflacji w Brazylji, gdzie tempo jej wzrostu osiągnęło 50 proc. Może to doprowadzić do deficytu brazyljskiego bilansu handlowego w wysokości około 2,5 miliarda dolarów.

W Meksyku, gdzie tempo inflacji wynosiło w ubiegłym roku 21,5 proc., rząd usztywnia warunki kredytu, wprowadza kontrole cen towarów masowego spożycia i innych wyrobów. Władze mają nadzieję, że nastąpi tylko niewielki spadek tempa wzrostu ekonomicznego, tj. do 6 proc., w porównaniu z 7,5 proc. w roku 1973.

Przyszłość Argentyny jest niejasna. „Socjalne przymierze” rządu, które ma na celu stymulowanie współpracy między przemysłowcami i robotnikami w kwestiach wynagrodzeń za pracę i cen, dało ponoć jakieś wyniki. W każdym razie w ubiegłym roku udało się zmniejszyć inflację, a realny wzrost ekonomiczny ma osiągnąć w tym roku 5,4 proc., czyli pozostanie na poziomie roku 1973. Jednakże w związku ze śmiercią Perona jest możliwe nowe zamieszanie w ekonomice i polityce.

Walutowo-finansowy system świata kapitalistycznego przeżywa ogromne trudności. Rządy większości krajów zachodnich nie są w stanie zahamować inflacji i wzrostu cen na towary pierwszej potrzeby, rosną koszty utrzymania, co uderza przede wszystkim w ludzi pracy. Zachód stoi dziś przed groźnym widmem wielkiego kryzysu lat trzydziestych.

JERZY CZECH

ZACHÓD W OBLICZU GŁĘBOKIEGO KRYZYSU

liardów dolarów. Większa część tej sumy jest związana z wydatkami na naftę.

Najcięższe brzemie dźwigają Anglia i Włochy. Francję oczekuje deficyt bilansu płatniczego w wymiarze 6 miliardów dolarów, a Danię, której potencjał ekonomiczny stanowi zaledwie 10 proc. francuskiego, grozi deficyt bilansu płatniczego w mierze blisko 2 miliardów dolarów. Komisja Wspólnego Rynku przypuszcza, iż objętość produkcji „dziewiątki” w 1974 roku wzrosnie zaledwie o 2,5 proc., w porównaniu z 5,5 proc. w 1973 roku.

Ogromne wydatki na naftę i gwałtowny wzrost inflacji zmniejszyły krajów zachodnich do podjęcia najbardziej drastycznych kroków deflacyjnych. Inne wyjście z kryzysu widzą ekonomści zachodni w ewentualności zwiększenia eksportu w celu zdobycia niezbędnych środków na opłacenie nafty. Ale ponieważ wszystkie kraje zachodniej Europy znajdują się w takiej samej sytuacji, trudno sobie wyobrazić dokąd mogłyby być skierowane te towary. Biorąc pod uwagę dodatnie saldo bilansu płatniczego RFN, naciska się ją z wszystkich stron, żeby zaczęła kupować duże ilości towarów innych krajów EWG. Ale RFN stawia twardy opór. Na Zachodzie uważa się Niemcy za-

choinnie za kluczowe państwo zachodnioeuropejskie. Posiadają one nie tylko najsilniejszą ekonomikę, ale także zatrudniają nadwyżkę siły roboczej z krajów południowej Europy. W zachodnich Niemczech pracuje dziś około 600.000 Włochów i jeszcze więcej Hiszpanów. W RFN i innych krajach zachodnich pracuje dziś blisko półtora miliona Hiszpanów. Jeżeli mechanizm zachodnioeuropejskiej ekonomiki nagle stanie i ci wszyscy robotnicy będą musieli wrócić do swoich krajów, we Włoszech i w Hiszpanii sytuacja, która i tak jest już bardzo poważna, stanie się wręcz rozpacziwa.

Także „japoński cud” stał się ofiarą kryzysu. Poziom inflacji w Japonii jest wyższy niż w jakimkolwiek innym przemysłowo rozwiniętym

tyczną sytuację, w jakiej się znalazły. Nawet gejze w handlowym centrum Tokio uskarżają się na spadek ekonomiczny — liczba ich klientów zmalała o dwie trzecie. Japońska ekonomika znajduje się niemal w stadium stagnacji. Również Kanada, niezależnie od swoich bogactw naturalnych i tzw. „zdrowej” gospodarki, czuje się zagrożona. Odczuwa „pokojącą zaleźność od zagranicznego kapitału i kaprysów rynku światowego. Mimo pewnej izolacji od międzynarodowych problemów ekonomicznych, światowa inflacja dotknęła także i Kanadę, chociaż tempo jej wzrostu, 10,4 proc., jest stosunkowo niewielkie. Niemniej jej skutki dają się już odczuwać. Inflacja jest najczarniejszą chmurą na horyzoncie latynoamerykańskim. Poważnym problemem politycznym jest podwyższenie cen na produkty spożywcze, ponieważ wzrost produkcji rolnej nie nadąża za wzrostem liczby ludności. A jeszcze groźniejszym problemem jest gwałtowny skok cen na naftę. Kilka państw latynoamerykańskich wydobywa znaczne ilości nafty, lecz większość krajów tego kontynentu musi płacić ogromne sumy za jej import. Jednakże inflacja nie jest jakimś nowym zjawiskiem dla Ameryki Łacińskiej, ekonomści są bardziej zaniepokoleni trudnościami, jakie przeżywa USA, Europa i Japonia. Obawiają się, iż przedłużająca się „stagflacja” — spadek produkcji w warunkach inflacji — grozi obniżeniem popytu na towary latynoamerykańskie, zmniejszeniem przywozu kapitałów i, co za tym idzie, wzrostem zadłużenia w imporcie. Podwyższenie cen na importowaną naftę spowodowało gwałtowny wzrost inflacji w Brazylji, gdzie tempo jej wzrostu osiągnęło 50 proc. Może to doprowadzić do deficytu brazyljskiego bilansu handlowego w wysokości około 2,5 miliarda dolarów. W Meksyku, gdzie tempo inflacji wynosiło w ubiegłym roku 21,5 proc., rząd usztywnia warunki kredytu, wprowadza kontrole cen towarów masowego spożycia i innych wyrobów. Władze mają nadzieję, że nastąpi tylko niewielki spadek tempa wzrostu ekonomicznego, tj. do 6 proc., w porównaniu z 7,5 proc. w roku 1973. Przyszłość Argentyny jest niejasna. „Socjalne przymierze” rządu, które ma na celu stymulowanie współpracy między przemysłowcami i robotnikami w kwestiach wynagrodzeń za pracę i cen, dało ponoć jakieś wyniki. W każdym razie w ubiegłym roku udało się zmniejszyć inflację, a realny wzrost ekonomiczny ma osiągnąć w tym roku 5,4 proc., czyli pozostanie na poziomie roku 1973. Jednakże w związku ze śmiercią Perona jest możliwe nowe zamieszanie w ekonomice i polityce. Walutowo-finansowy system świata kapitalistycznego przeżywa ogromne trudności. Rządy większości krajów zachodnich nie są w stanie zahamować inflacji i wzrostu cen na towary pierwszej potrzeby, rosną koszty utrzymania, co uderza przede wszystkim w ludzi pracy. Zachód stoi dziś przed groźnym widmem wielkiego kryzysu lat trzydziestych.

PAŹDZIERNIK DONIOSŁYCH WIZYT SUKCES SIŁ DEMOKRACJI PORTUGALSKIEJ

Nagromadziło się wydarzeń co niemiara. Rozpoczęła się przeciw wizyta Edwarda Gierka w Stanach Zjednoczonych, Piotr Jaroszewicz gościł w Austrii, w Warszawie przebywał Andriej Gromyko, zapowiedziano na gruzdzie wizytę Leonida Brźniewa we Francji, a Kissinger jedzie do Moskwy. Jeśli do tej serii ważnych rozmów dodać chociażby zmianę na stanowisku prezydenta w Portugalii, upadek kolejnego rządu centrolewicowego we Włoszech oraz utrzymujący się impas w uregulowaniu problemu cypryjskiego, a także toczące się obrady sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ — czytelnik sam dojdzie do wniosku, że na początku października zbiegło się wiele wydarzeń.

O znaczeniu podróży i sekretarza KC PZPR do Stanów Zjednoczonych i wadze waszyngtońskich rozmów pisaliśmy już na tym miejscu dwukrotnie. Zamieszczając wywiady, jakich Edward Gierek udzielił „Washington Post” oraz Associated Press, prasa amerykańska podkreśla, że „będzie on pierwszym przywódcą komunistycznym, odbywającym rozmowy z Geraldem Fordem, od kiedy został on prezydentem”. Dzienniki amerykańskie są przekonane, że z gamy

zagadnień międzynarodowych jednym z głównych tematów rozmów jest Europejska Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy. Proces odzupienia jest bowiem nieodwracalny i Polska pragnie nadal odgrywać aktywną rolę w rozwijaniu tego procesu.

Omawiając drugi wątek rozmów: stosunki polsko-amerykańskie tamtejsza prasa przytacza słowa Edwarda Gierka o nadziei, że wizyta „otworzy nowe drogi” w tych stosunkach.

Raz jeszcze zwracamy uwagę na żywe zainteresowanie prasy amerykańskiej Polską, która w większości wypadków prezentuje przez kraj jako nowoczesny i burzliwie rozwijający się.

Wkładem w rozszerzenie procesu odzupienia i poprawy stosunków między państwami była również wizyta premiera Piotra Jaroszewicza w Austrii. Przebieg rozmów, jak i podpisane porozumienia świadczą o pozytywnym rozwoju stosunków między socjalistyczną Polską a neutralną Austrią. Co więcej — oba kraje wiele soraw międzynarodowych widzą podobnie, ponieważ akceptują zasady pokojowego współistnienia i za trwa-

ly składnik polityki zagranicznej uznają szukanie dróg porozumienia i współpracy.

Ważnym wydarzeniem dla naszego kraju była wizyta w Warszawie radzieckiego ministra Spraw Zagranicznych — Andrieja Gromyki. Witalisimo go jako męża stanu, którego nazwisko łączy się z pomyślną realizacją programu pokoju XXIV Zjazdu KPZR. Rozmowy, jakie przeprowadził on z osobistościami naszego życia politycznego, służyły szerokiej wymianie poglądów na temat aktualnej sytuacji międzynarodowej.

Powodzenie, osiągnięte przez kraje socjalistycznej wspólnoty, w torowaniu drogi zasadom pokojowego współistnienia, ma swe źródło w koordynowaniu polityki zagranicznej i zespalaniu wysiłków. Z samej istoty ustroju socjalistycznego wynika nasza ogólna orientacja na pokój i bezpieczeństwo narodów. Nie jest więc przypadkiem, że kraje socjalistyczne wysuwają liczne inicjatywy. Są one zawsze uzgodnione i przedyskutowane.

Andriej Gromyko w czasie pobytu w Warszawie udekorowany został przez Edwarda Gierka Orderem Zasługi PRL i Klasy. To wysokie odznaczenie podkreśla wkład radzieckiego ministra na polu współpracy polsko-radzieckiej i pogłębiania przyjaźni między naszymi narodami.

Przejdźmy teraz do wydarzeń w Portugalii. Jak wiadomo z doniesień agencji radij, dotychczasowy prezydent — de Spínola podał się do dymisji, a na jego miejsce wybrany został Francisco de Costa Gomes. Jeśli

zaledwie po pięciu miesiącach od przewrotu wojskowego następuje taka zmiana — znaczy, że zdarzyło się coś szczególnego. I rzeczywiście. Władze portugalskie trafiły na dowody przygotowywania poważnego spisku przez siły prawicowe. Miał on na celu wyeliminowanie młodych oficerów, którzy dokonali rewolucji 25 kwietnia. Tak więc młoda demokracja portugalska była poważnie zagrożona. Solskowskiej dla swych celów próbował wykorzystać nazwisko gen. Spínoli. Zamierzenie zostało udaremnione, ok. 150 osób aresztowano, ale dotychczasowy prezydent złożył rezygnację.

Możliwość ataku prawicy sygnalizowaliśmy w komentarzu, poświęconym rebelii w Mozambiku. Pisaliśmy wówczas, że rebelie nie trzeba użnaczać za przejaw aktywizacji sił wstecznych, które przed zapowiedzianym na marzec przyszłego roku wyborami powszechnymi mogą próbować swych sił. Wcześniej, niż mogliśmy się spodziewać, ujawniło się to. Na szczęście Portugalia z próby zamachu wyszła obronna ręką. Teraz — pisze jeden z komentatorów madyryckich — prawica przystąpi do wyborów częściowo rozbita. Ubolewając nad tym dziennik swemu komentatorowi dał tytuł: „Portugalia bardziej na lewo”.

Powołujemy się nie bez powodu na prasę hiszpańską. Ostatnie wydarzenia w Portugalii szczególnie niepokoją madyryckie kółka polityczne, które lekają się podobnej ewolucji sytuacji na korzyść sił lewicowych.

WITOLD SŁAWSKI

ZAPASY NA ZIMĘ

Zima zbliża się wielkimi krokami, a wraz z nią nowe i ciekawe tematy. Bardzo rozczołajający mógłby być film o biednym staruszku z saturatorem, od którego z powodu zawiej nikt nie chce kupić ani jednej szklanki wody sodowej. Wadą pomysłu jest to, że nie nadaje się on, niestety, na film historyczny. Ale przy odrobinie inwencji zawsze wyjście się znajdzie. Ostatecznie można staruszkę włożyć w jakąś zbroję, saturator zasłonić haftowaną złotem kapą a w tle niech spaceruje sobie któryś z Jagiellonów.

KRÓTKI KOMUNIKAT

„Małe Kino”, które jest organem dobrze poinformowanym pozwala sobie wyjaśnić P.T. Krytykom oraz Przeprowadzającym Wywiady Z. że nazwisko Reżysersera, twórcy filmu „Potop” pisze się wyłącznie przez jedno „ef”. Wszelkie dalsze nadużycia powyższej spółgłoski będziemy publicznie i bezlitośnie piętnować.

KOLEŻENSTWO W LAZIENCE

Płowa seksgwiazda amerykańska Norma Volonte poczuła raz silny pociąg erotyczny do młodego hydraulika, który wraz z znacznie starszym kolegą remontował jej różową łazienkę. Jednak młody hydraulik pozostał nieczuły na dwuznaczne prowokacje. Zrozpaczona gwiazda, pragnąc go za wszelką cenę sobie pozyskać, ofiarowała mu klucz francuski

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

ze złota. Młodzieniec prezent przyjął, lecz zrewanżował się natychmiast przecinakami z platyny, pozostając nadal nieczułym. Biedna Norma była już bliska rozstroju nerwowego. Widząc to starszy hydraulik, Polak z pochodzenie, zawstydzony młodego kolegę i poświęcając się, oświadczył, iż poprobuje go zastąpić.

W TROSCE O WODĘ

Znany z dobrego serca aktor kukielkowy J. Wasserman, zainstalował w nowej willi specjalne kaloryfery o prostej formie, by przepływająca przez nie gorąca woda nie musiała się więcej tak strasznie męczyć.

I W TROSCE O OŁÓWEK

Jeden z naszych czołowych scenarzystów wpadł w przykry nałóg obgryzania ołówka w czasie pracy. Walcząc z tym nałogiem, zatrudnił sekretarkę, której dyktuje swoje utwory. Odpowiednio poinstruowana sekretarka, głośnym krzykiem reaguje natychmiast na każdą próbę ukaszenia, dzięki czemu ołówek ma wreszcie nieco spokoju.

PRZYRODA NA PRZEŁOMIE

W rejonie Podhala zaobserwowano liczne kina letnie, gromadzące się w grupy i szukające do odlotu. Kierownicy kin i bileterki pomyślnie przeszli już próbną drzemkę zimową. Natomiast kina objazdowe w tej okolicy wypuścili pierwsze nieśmiało jeszcze płozy. Starzy górale zapowiadają krótką i wesołą zimą.



D. BARBER

JAK ZDOBYĆ SŁAWĘ?

Prawdę mówiąc mój najnowszy zbiorek wierszy rozchodził się nie najlepiej. Wprawdzie sto dwadzieścia dwie osoby spośród mojej rodziny i przyjaciół zapewniły, że pierwszego dnia kupiły po książce, niestety, jak informował sprzedawca, były jedynie cztery egzemplarze.

— Rzecz w tym, że nikt o tobie nie słyszał, podobnie jak o twoich wierszach — stwierdziła Edith, moja żona.

— A czyż mogę dać ogłoszenie, na przykład, że jestem poetą dużej klasy?

— Nie, ale można opublikować w „Timesie” pamiętniki służące, którą odprawiłeś po dwudziestu latach wiernej służby i która demaskuje twoje życie prywatne.

— Kobieto — krzyknąłem — Przecież nigdy w życiu nie miałem służby domowej!

Żona uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Głuptasie, czyż nie wiesz, że jedna z najlepszych reklam to taka, która wygląda na kałamnicę? Koniecznie powinienes

wymyślić jakąś ukrytą formę reklamy.

— Przesłań o tym myślę! — pouczyłem ją surowo, gdyż pomysł spodobał mi się, ale nie lubię obmyślać szczegółów.

Ażby Edith nie zapomniała o całej tej sprawie dorzuciłem: — Kategorycznie proszę, daj spokój podobnym planom!

Wkrótce po tym ciotka żony zachorowała i moja połowica wyjechała do Londynu, aby doglądać chorej.

W kilka dni później zjawił się Człowiek z Psem. Był to zdrowo wyglądający atleta.

— Proszę o pieniądze — objął mnie olbrzym tonem nie znośnym sprzeciwu.

— Przepraszam, o jakie pieniądze chodzi? — zainteresowałem się.

— Niech pan nie robi z siebie durnia — doradził osiołek.

— Dwa funty za psa.

— Nie potrzebuję psa — mruknąłem bez przekonania. Stałem już przed progiem, a że ulica moja nie należy do ruchliwych, najprościej było kupić

psa bez dłuższych targów.

— Jak to „nie potrzebuje”? — zgorzysł się atleta. — Więc po to wlokłem się tu aż z Brighton z tym przekłętym zwierzęciem, żeby teraz posłyszcie „nie potrzebuje”?

Koniec końców zgodziliśmy się na trzydziści szylingów.

Rzuciłem psu kawał mięsa, zamknąłem go w kuchni i zabrałem się do czyszczenia nowego wiersza. Niestety, po kwadransie zjawił się dwaj następnicy z monstrualnymi wilczurami.

Tym razem nie wdawałem się w wyjaśnienia. Zatrzasnąłem drzwi i podszedłem do okna, żeby zobaczyć, czy odchodzą. Ale wtedy zaszalałem, ciągnąc od miasta nowe watahy psiarzyków.

Wtedy doznałem olśnienia. Otworzyłem „Timesa” i w oczach rzuciło mi się duże ogłoszenie: „Me L. F. Conoshill chętnie wypłaci dwa funty temu, kto zwróci mu wiernego psa Oho, który natchnął swego właściciela do napisania wiersza „Oczy przyjaciela. Wiersz ten, nawiasem mówiąc, opublikowany został w ostatnim zbiorku jego utworów”.

I w tamtym momencie podjąłem mienne postanowienie załatwiania samemu wszystkich spraw.

Tłumaczył B. P.

IZAAK BABEL

SĄD

Madame Blanchard, lat sześćdziesiąt jeden, spotkała w kawiarni na Boulevard des Italiens byłego podpułkownika Iwana Niedaczina. Pokochała się. W ich miłości było więcej uczucia niż rozsądku. Po trzech miesiącach podpułkownik uciekł z akcjami i klejnotami, które madame Blanchard poleciła mu wyemienić u jublera na Rue de la Paix.

— Accés de folie passagère (atak tymczasowego szaleństwa) — tak określił lekarz szok, jakiego uległa madame Blanchard.

Przyszedłszy do siebie stara zwierzyła się ze wszystkich synowej. Synowa dała znać policji. Niedaczina aresztowali na Montparnasse w piwnicy, gdzie śpiewali moskiewscy Cyganie. W wzięciu Niedaczina pożytki i zgorzkniał. Sądono go w sali czterastej sądu karnego. Najpierw była jakaś sprawa z samochodami, potem przed obliczem prawa stanął szesnastoletni Raimond Lepik, który z zazdrości zastrzelił swoją kochankę. Po chłopcu był pułkownik. Zandami wypchnęli go na światło dzienne, jak niegdyś wypychano Ursusa na arenę cyrku. W sali sądowej Fraucuzzi w niedbale uszytych garniturach pokrzykiwali na siebie, lekko wymalowane kobiety wachlowały zapłakane twarze. Przed nimi — na podwyższeniu pod marmurowym herbem republiki — siedział czerwonolicy

mężczyzna z galijskimi wasami, w todzie i w nakryciu głowy.

— Eh, bien Nadachine, no więc — powiedział zobaczywszy oskarżonego — eh, bien, mon ami. — I grasejowane szybko słowa spadły na zdumionego biegłem wypadków podpułkownika.

— Pochodząc ze szlachty Niedachine — dźwięcznie mówił przewodniczący sądu — jest pan zapisany, mon ami, w heraldycznych księgach tambońskiej guberni... Oficer carskiej armii, wyemigrował pan razem z Wranglem i został policjantem w Zagrzebiu... Różnice dotyczące zagadnienia granic państwowej własności i prywatnej — dźwięcznym głosem ciągnął dalej przewodniczący, wysuwając sędzię łog-eczubek-butę, to znów chwytając go — różnice te, mój przyjacielu, zmusiły pana rozstać się z gościnnym królestwem Jugosławii i skierować swój wzrok na Paryż... W Paryżu... — Tu przewodniczący przebiegł oczyma leżący przed nim papier. — W Paryżu, mon ami, egzamin na szofera tak-sówki okazał się twierdzą, którą nie mógł pan pokonać... Wówczas zaproponował pan pewien zapas swej nieużytej energii nieobecnej tu madame Blanchard...

Obca mowa lała się na Niedaczina jak letni deszcz. Bezradny, potężny, ze zwisającymi rękami — górował nad tłumem,

jak smutne zwierzę z innego świata.

— Voyons, no więc — powiedział przewodniczący nagle — widzę ze swego miejsca synowa madame Blanchard.

Skloniwszy głowę w stronę świadków podbiegła tłusta kobieta bez szyi, podobna do ryby wsadzonej w surdut. Dusząc się, podnosząc do nieba krótkie ręce, zaczęła wylizywać nazwy akcji zabranych przez oskarżonego u madame Blanchard.

— Dziękuję pani, madame — przerwał jej przewodniczący i usiadł złączywszy ręce w okrągłych mankietach. Zastąpił go adwokat, naturalizowany kijowski Żyd. Z oburzeniem, jakby klócać się z kimś, zaczął krzyczeć o Golgocie rosyjskiej kadry oficerskiej. Niewyraźnie wymawiane francuskie słowa kruszyły się, rozsywały w jego ustach i przy końcu przemówienia były podobne do żydowskich. Kilka chwil przewodniczący milcząco spoglądał na adwokata i nagle kiwnął się w prawo — do wyschłego starca w todzie i w nakryciu głowy, potem kiwnął się w drugą stronę do podobnego starca siedzącego z lewej strony.

— Dziesięć lat, mon ami — lakonicznie powiedział przewodniczący, skinął Niedaczinowi głową i chwycił w locie rzuczone mu przez sekretarza akta nowej sprawy.

Wyciągnięty jak struna Niedaczin stał nieruchomo. Jego wyblakłe oczka mrugały, na czole pojawiły się krople potu.

— Ta encaissé dix ans, do stał się dziesięć lat — powiedział za jego plecami żandarm — c'est fini, koniec, mon vieux. — I lekko poszturchując go dłońmi żandarm zaczął przesuwać skazanego do wyjścia.

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI



Wszystko na jesień

- ◆ Płaszcz
- ◆ Garnitury
- ◆ Dziewiarstwo
- ◆ Suknie
- ◆ Kurtki
- ◆ Galanteria

Polecają sklepy

ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA TEKSTYLNO ODZIEŻOWEGO